

Muzeum Regionalne im. Hieronima Ławniczaka w Krotoszynie

LEGENDY I PODANIA ZIEMI KROTOSZYŃSKIEJ



Krotoszyn 2018

LEGENDY I PODANIA ZIEMI KROTOSZYŃSKIEJ



Muzeum Regionalne im. Hieronima Ławniczaka
w Krotoszynie
2018

Wydawca:



Muzeum Regionalne im. Hieronima Ławniczaka w Krotoszynie

adres:

Mały Rynek 1
63-700 Krotoszyn

telefon:

62 722-61-47

email:

muzeum@krotoszyn.pl

strony internetowe:

<http://muzeum.krotoszyn.pl/>

<https://www.facebook.com/MuzeumRegionalneImHieronimaLawniczakaWKrotoszynie/>

Opracowanie:

Piotr Mikołajczyk

treść legend opracowano na podstawie tekstów Heleny Kasperskiej i Antoniego Nawrockiego

Korekta:

Alicja Kryszkiewicz-Świst

Konsultacja:

Daniel Szczepaniak

Alicja Obal

Ilustracje i projekt okładki:

Kamilla Żaruk

Muzeum Regionalne im. Hieronima Ławniczaka w Krotoszynie

Druk, skład i oprawa:

Drukarnia PROJEKT

63 - 200 Jarocin, ul. Kusocińskiego 12

tel. 62 747 14 09

ISBN:

978-83-927561-3-2

Copyright by Muzeum Regionalne im. Hieronima Ławniczaka w Krotoszynie

Wstęp

Książeczka, którą mają Państwo w rękach, została opracowana w odpowiedzi na zapotrzebowanie, jakie od dłuższego czasu zgłaszali nam mieszkańcy okolic Krotoszyna. Poprzednia edycja „Podań i Legend Ziemi Krotoszyńskiej” wydana została w roku 2000 i już od dawna jest niedostępna, a opublikowana w niewielkim nakładzie w roku 2011 książka „Crothoszino. Prawdziwe i legendarne początki Krotoszyna”, zawierała tylko niektóre legendy, przeniesione dodatkowo w czasy początków miasta i sfabularyzowane.

Publikację niniejszej książki poprzedziła wystawa plenerowa poświęcona lokalnym podaniom, którą nasze Muzeum, we współpracy z miejscowym Urzędem Miejskim, prezentowało na krotoszyńskim Rynku latem 2017 roku.

Treść dwudziestu jeden podań i legend uzupełniono o komentarze historyczne, których zadaniem jest wyjaśnienie ewentualnych nieścisłości i sprostowanie lub uzupełnienie niektórych faktów. Dodatkowo pozycję wzbogacono o niesamowite ilustracje autorstwa Kamilli Żaruk – miejscowej plastyczki i nauczycielki.

Na końcu książeczki, z dedykacją dla wszystkich miłośników wędrówek po naszej „małej ojczyźnie”, zamieszczamy niewielką mapę turystyczną ziemi krotoszyńskiej. Została nam ona udostępniona, dzięki życzliwości **CDP Agencji Reklamowo-Artystycznej Jarosława Reisinga** i ma za zadanie ułatwić odnalezienie niektórych legendarnych miejsc i obiektów.

Piotr Mikołajczyk

„Dąb Rozdrażewskich”

opowieść o walce mieszkańców Krotoszyna i okolic ze Szwedami

W lesie położonym na południowy – wschód od miasta, pomiędzy Krotoszynem a Sulmierzycami, znajduje się stary, już nieco wyschnięty, rozłożysty dąb. Jest to pomnik przyrody, pod którym według miejscowej tradycji dziedzic miasta – Jakub Rozdrażewski herbu Doliwa miał gromadzić mieszkańców Krotoszyna i okolicznych miejscowości do walki ze Szwedami podczas potopu w latach 1655 – 1660.



Komentarz historyczny

Mimo że ów legendarny „Dąb Rozdrażewskich” (mający 310 cm obwodu) jest dużo młodszy niż czasy potopu szwedzkiego, jednak opowieść o patriotyzmie Jakuba Hieronima Rozdrażewskiego herbu Doliwa zawiera w sobie dużo prawdy. Ówczesny dziedzic naszego miasta, nie przyłączył się do zdecydowanej większości wielkopolskiej szlachty i nie przeszedł na stronę władcy Szwecji – Karola X Gustawa. Od początku wojny polsko – szwedzkiej stał po stronie Rzeczypospolitej i króla Jana II Kazimierza Wazy. Jakub Rozdrażewski wziął między innymi udział w odzyskaniu Leszna, które opowiedziało się po stronie szwedzkiego monarchy. Okoliczni chłopci z kolei prowadzili na terenie ziemi krotoszyńskiej działalność partyzancką.

Zarówno patriotyczna postawa dziedzica Krotoszyna, jak i antyszwedzka działalność miejscowej ludności spowodowały, że mimo wniesionego przez krotoszyńskich mieszczan okupu, Szwedzi pod komendą generała majora Jana Weyharda Wrzesowicza dokonali odwetowego najazdu i spalenia miasta. Po tym ataku w Krotoszynie pozostało tylko około siedemdziesięciu rodzin mieszczańskich, a wzniesiony pożar nie strawił jedynie ul. Koźmińskiej.

„Diabelski kamień” ***opowieść o głazie spod Rozdrażewka***

W lesie w pobliżu leśniczówki Sokołówka nieopodal Rozdrażewka, leży duży głaz narzutowy, nazywany przez okoliczną ludność „diabelskim kamieniem”. Ponoć pojawił się on w tym miejscu podczas potopu, czyli najazdu Szwedów na Polskę w XVII stuleciu. Starzy ludzie z Rozdrażewka i okolic opowiadają, że kiedy szwedzki generał Burchard Müller oblegał w grudniu 1655 r. Jasną Górę, a nie mógł jej zdobyć, wezwał samo piekło na pomoc. Szwedom zaczęło z czasem brakować kul do kolubryny – specjalnie prowadzonej olbrzymiej armaty, która miała skruszyć klasztorne mury. Wówczas zdesperowany dowódca najeźdźców zawołał, iż przyjąłby pomoc samego diabła, byleby tylko klasztor wreszcie zdobyć.

Szatan usłyszał wołanie Müllera. Wziął ze skalistej Szwecji jeden z olbrzymich głazów i lecąc nad Polską, niósł go w kierunku Częstochowy. Kiedy przelatował, niebo ciemniało, a nad ziemią rozlegał się szum wichru, świst i potężne dudnienie. Pewien chłop z Rozdrażewka pracował wówczas w polu. Kiedy tylko usłyszał niepokojące odgłosy i zobaczył przelatującego diabła, przerażony padł natychmiast na ziemię i zaczął odmawiać godzinki. Wówczas diabeł wstrząsnął się jakby święconą wodą skropiony, ręce mu zadrżały i upuścił kamień, który spadając, głęboko wrył się w ziemię. Rozzłoszczony bies próbował głaz wydobyć, kopiąc w niego racicami, jednak ten tylko coraz głębiej zapadał się w ziemię. Zrezygnowany diabeł, chcąc odpocząć przed powrotem do piekła, usiadł na kamieniu, żłobiąc w nim swoim zadem płytkie, nieckowate zagłębienie.

Jak wiadomo z historii oraz Trylogii Henryka Sienkiewicza, Szwedzi nigdy nie zdobyli Jasnej Góry, a „diabelski kamień” leży do dzisiaj w lesie koło Sokołówki, nosząc ślady diabelskich kopyt i „siedzenia”.



Komentarz historyczny

W lesie pomiędzy wsiami Ryczków i Rozdrażewek, około pół kilometra na wschód od leśniczówki Sokołówka, znajduje się okazałych rozmiarów głaz narzutowy z piaskowca, znany wśród miejscowych jako „diabelski kamień”. Jest to pomnik przyrody o obwodzie 18 metrów i wymiarach 675/370/150 cm, którego większa część znajduje się pod ziemią.

„Jak Jan Kazimierz na Śląsk uciekał” *opowieść o tunelach między Zdunami a Cieszkowem*

Pomiędzy miasteczkiem Zduny w powiecie krotoszyńskim a Cieszkowem w powiecie milickim znajdują się ponoć niezbadane dotąd podziemne przejścia i lochy, które prowadziły niegdyś w głęboki las. Okoliczna ludność do dziś opowiada o podziemnych korytarzach różne ciekawe i dziwne historie.

W XVII wieku podczas potopu szwedzkiego, Jan II Kazimierz – król polski, uchodził przed ścigającymi go nieprzyjacielskimi wojskami. Szwedzi opanowali wówczas już niemal całą Rzeczpospolitą. Monarcha przybył do Zdun, nad ówczesną granicę państwa, ponieważ Śląsk znajdował się wtedy pod panowaniem cesarza austriackiego.

– Ratuj miłościwy Panie siebie i swoją koronę – błagali króla dworzanie – uchodź przez granicę na Śląsk. Co prawda obce to już ziemie – cesarskie, ale lud nasz – polski, ugości cię jak może i znajdziesz u niego schronienie.

Jan Kazimierz wahał się jeszcze, chcąc pozostać w niedoli ze swym ludem, jednak namowy dworzan oraz widok nadciągających z oddali oddziałów szwedzkiej rajtarii skłoniły go do działania. Nie było ani chwili do stracenia. Nawet otwarte przejście przez granicę było już niebezpieczne, bo pogoń mogła go dojść jeszcze przed granicą.

Szczęśliwie dla monarchy ktoś z mieszkańców Zdun wskazał królewskiemu orszakowi wejście do tajemniczego, podziemnego korytarza. Tą też drogą wszyscy przedostali się na ziemię milicką, do Cieszkowa, gdzie szwedzka ręka nie mogła już ich dosięgnąć.

W późniejszych czasach jednak jakieś dziwne rzeczy zaczęły się dziać z owym korytarzem, który dziś ukryty jest przed ludzkim okiem i przysypany ciężarem ziemi i minionych lat. Nie wiadomo czy stał się on widownią zbrodni, czy z innego powodu zaczęto wierzyć, że złe siły wybrały sobie to miejsce na siedzibę i zakazały ludziom tam wstępu. Wielu było śmiałków, którzy chcieli zbadać to przejście, jednak gdy tylko zostawiali za sobą światło dnia, na drodze wyrastały nagle niezwykle przeszkody, których nie sposób było pokonać. Coś śmiałków przewracało, ciągnęło za poły ubrania, zatrzymywało. Ludzie z lękiem do dziś opowiadają, że niektórzy najodważniejsi i zdecydowani na pokonanie wszystkich przeszkód nigdy z wyprawy nie powrócili do domu...



Komentarz historyczny

Jan II Kazimierz (1609 – 1672) był ostatnim królem Polski z dynastii Wazów. Podczas potopu szwedzkiego musiał wraz ze swoim dworem opuścić granice Rzeczypospolitej i udać się do Głogówka w księstwie opolsko-raciborskim, gdzie od października 1655 r. przez dwa miesiące przebywał na wygnaniu.

Podczas potopu szwedzkiego Zduny stały się obiektem zainteresowania wojsk szwedzkich, ze względu na funkcjonującą w pogranicznym mieście królewską komorę celną. Przy okazji najeźdźcy ograbili mieszkańców z dóbr i żywności, nakładając ponadto na nich dodatkowe kontrybucje. Na domiar złego, przez Zduny i okoliczne miejscowości przetoczyła się epidemia morowego powietrza, najprawdopodobniej dżumy.

Nie ma niestety żadnych dowodów na to, że Jan Kazimierz uciekając na Śląsk przejeżdżał przez Zduny, choć okoliczni dziedzice, w przeciwieństwie do większości wielkopolskiej szlachty, nie poparli Karola X Gustawa, lecz pozostali wierni królowi polskiemu. Nie ma również żadnych dowodów na istnienie opisywanych w legendzie tuneli, mimo że wśród mieszkańców Zdun do dziś krążą mroczne i pasjonujące opowieści o tych rzekomych korytarzach, za które często bierze się pozostałości chłodni pałacowej pod Cieszkowem.

„Kamienny pies”

opowieść o nieszczęśliwej miłości, tragedii i psiej wierności

Przed wielu laty w okolicy Krotoszyna żył pewien leśniczy. Mieszkał on wraz z żoną i urodziwą córką w pięknej drewnianej leśniczówce, którą wybudowano pod rozległym lasem, rozciągającym się na południe od miasta. Córka, jedyne dziecko leśniczego, była oczkiem w głowie ojca. Od czasu do czasu do domu pod lasem zaglądał przystojny młody chłopak. Ponieważ był biedny, dorabiał pomagając mieszkańcom miasta, a że szybko się uczył i miał głowę na karku, zaczęto go doceniać.

Córka leśniczego spodobała się chłopcu, więc młodzieniec coraz częściej odwiedzał leśniczówkę. Z czasem młodzi zakochali się w sobie, jednak o ich małżeństwie ojciec dziewczyny nie chciał nawet słyszeć. Mimo że lubił i cenił chłopaka, jednak nie miał zamiaru wydawać ukochanej córki za kogoś bez majątku, tym bardziej, że liczył na to, iż dziewczyna poślubi kogoś bogatego, kto zapewni jej dostatnie życie.

W rozpacz, podczas ostatniego wspólnego spaceru po lesie, chłopak zabił ukochaną i pochował ją w miejscu, gdzie po dziś dzień rośnie wysoka lipa. Świadkiem tragedii był pies dziewczyny, który po śmierci swej pani nie opuścił jej, pozostając na grobie i zamieniając się w kamień. Chłopak początkowo uciekł, jednak wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Nie mogąc się pogodzić z tak straszną zbrodnią, popełnił samobójstwo.



Komentarz historyczny

Miejsce, o którym mówi legenda, znajduje się na południe od Krotoszyna, jakieś pół kilometra od drogi wiodącej z leśniczówki miejskiej do Sulmierzyc. Przy leśnym dukcie można tam znaleźć sporych rozmiarów lipę rosnącą pomiędzy czterema świerkami, w której korzeniach leżą duże kamienie, w tym jeden przypominający kształtem psią głowę. To według legendy miałby być ów skamieniały, wierny pies zamordowanej dziewczyny.

„Konfederaci w Krotoszynie” ***opowieść o krotoszyńskim klasztorze***

Wydarzyło się to 250 lat temu w czasach konfederacji barskiej. W okolicie Krotoszyna przybył niewielki oddział konfederatów, ścigany przez znacznie większe siły rosyjskie. W obawie przed nadciągającymi kozakami przerażona ludność miasta oraz konfederaci szukali schronienia w klasztorze trynitarzy, którego solidne, grube na ponad metr mury, wydawały się bezpieczne. Klasztor oraz pobliski kościół łączył wówczas podziemny korytarz, który wiódł podobno aż do usytuowanego w parku krotoszyńskiego pałacu. Zakonnicy zdecydowali się pomóc potrzebującym. Ukryli ludzi w podziemiach klasztoru, a sami wyszli na spotkanie Rosjanom. Przeor zakonu otworzył bramę, licząc na to, że kozacy nie widząc nigdzie ściganych konfederatów, oszczędzą zakonników.

Stało się jednak inaczej. Rosjanie z furją rzucili się na mnichów i pięciu z nich zabili na miejscu. Przeor, który przez swoją naiwność naraził braci zakonnych na śmierć, padł na kolana i zaczął gorąco modlić się o ocalenie pozostałych przy życiu. Wówczas stał się cud. Ściany z obu stron bramy klasztornej zaczęły się zasuwać i po chwili zamknęły się całkowicie. Kozacy stali jak skamieniali przed wyrosłym nagle murem, a potem przerażeni opuścili miasto. Ludność, która znalazła schronienie w klasztorze, mogła wrócić do swoich domów, a pięciu pomordowanych zakonników pochowano w podziemiach klasztoru.

Trynitarze żyli w Krotoszynie jeszcze przez blisko pół wieku. Potem zakon skasowano, ale budynek klasztorny stoi do dzisiaj i mieści się w nim krotoszyńskie muzeum. Podobno o północy zakonnicy w białych habitach wychodzą ze swoich grobów, przenikają ściany, chodzą po salach i korytarzach, śpiewając po łacinie psalmy.



Komentarz historyczny

Zakon Trójcy Przenajświętszej (trynitarze) został założony w czasach wypraw krzyżowych (XII w.) przez św. Jana z Mathy i św. Feliksa de Valois. Zgromadzenie zajmowało się wykupem więźniów chrześcijańskich z rąk muzułmanów. Do Krotoszyna mnichów sprowadził w 1731 r. Józef Potocki, oddając im drewniany kościół pw. św. św. Piotra i Pawła, a dwa lata później fundując zakonowi budynek klasztorny (obecnie Muzeum Regionalne).

W latach 1767 – 1774 (również podczas konfederacji barskiej!) wdowa po hetmanie – Ludwika z Mniszchów, rozebrała drewnianą świątynię i na jej miejscu wzniosła murowany, barokowy gmach według projektu Karola Marcina Frantza. Trynitarze działali w Krotoszynie do 1819 r., kiedy władze pruskie dokonały kasaty zakonu, a w gmachu poklasztorным zlokalizowały szkołę, a następnie koszary. Co ciekawe budynek klasztoru z murowanym kościołem pw. św. św. Piotra i Pawła łączył zarówno ganek nadziemny na wysokości piętra we wschodniej części gmachu (rozebrany po 1830 r.), jak i podziemne przejście (zawalone w latach 60. XX w.)

W czasach konfederacji barskiej (1768 – 1772) Krotoszyn był miejscem walk konfederatów z Moskalami. 14 czerwca 1768 r. w pobliżu miasta (prawdopodobnie w jego południowej części) wojska rosyjskie ppłk. Konstantynowa i mjr. Drewicza rozbiły oddział regimentarza Wojciecha Rydzyńskiego, ścigając go później aż do Zdun. Bezpośrednio z legendą związany jest jednak inny epizod z czasów konfederacji. W roku 1769 kozacy mjr. Drewicza w poszukiwaniu konfederatów wdarli się do Krotoszyna, Kobyлина oraz Zdun. Najprawdopodobniej to wydarzenie stało się inspiracją do powstania legendy o krotoszyńskim klasztorze.

„Krot i Syn”

podanie o krotoszyńskiej nazwie

Przed wiekami, tam gdzie od niepamiętnych czasów mieściła się wieś Stary Krotoszyn, żył możny i dzielny rycerz, którego zwano Krotem. Był on właścicielem kilku okolicznych miejscowości, a w Starym Krotoszynie ufundował drewniany kościół parafialny pod wezwaniem św. Marii Magdaleny.

Wiodąc dostatni i szczęśliwy żywot rycerz dochował się syna, którego imię zaginęło jednak w pomrokach dziejów. Jeszcze za swego życia Krot wydzielił potomkowi część swoich rozległych włości, na terenie których wybudował okazały, piękny dwór. Sam pozostał w Starym Krotoszynie.

Z czasem okoliczna ludność zaczęła mówić: „Tam mieszka KROT – a tam KROTA SYN” Po wielu latach wyrazy: „KROT” i „SYN” połączyły się w jedną nazwę KROTOSZYN.



Komentarz historyczny

Po raz pierwszy nazwa naszego miasta pojawia się w dokumencie z 1405 roku zapisana jako „Crothoszino”. Początkowo dotyczyła ona wsi Krotoszyn, która mogła powstać już w okresie panowania Kazimierza Odnowiciela (1039 – 1058) w miejscu dzisiejszego tzw. Starego Krotoszyna. Po lokacji miejskiej w roku 1415 miasto przeniesiono na północ, w okolice dzisiejszego Rynku, który stanowił wówczas obszar wsi Oraczewice (Park Wojska Polskiego i ul. Zdunowska) i Banów (Rynek, ul. Kaliska i al. Powstańców Wlkp.). Od momentu powstania miasta nazwa Krotoszyn była stosowana w odniesieniu do nowego założenia miejskiego, natomiast dawną wieś Krotoszyn zaczęto dla rozróżnienia określać Starym Krotoszynem.

Legenda zwraca naszą uwagę na fakt, jakoby nazwa miasta miała mieć związek z imieniem Krot oraz ze słowem syn. Faktycznie początkowo pochodzenie nazwy Krotoszyn wywodzono od imienia Krotosza i miała ona oznaczać własność Krotoszy. Z kolei samo imię Krotosza wywodzono od staropolskiego słowa krotki, czyli pogodny, łagodny, miły. Najnowsze interpretacje nazwy miasta skłaniają się ku wywodzeniu nazwy Krotoszyn od słowa oznaczającego kogoś niewysokiego, krótkiego.

Wspomniany w tekście drewniany kościółek pw. św. Marii Magdaleny ma swoje początki prawdopodobnie w okresie rozbicia dzielnicowego (XII – XIII w.). Obecna forma budynku pochodzi z roku 1755, kiedy to ze względu na zły stan świątyni rozebrano stary kościółek i w jego miejscu, staraniem ówczesnego proboszcza krotoszyńskiego – Piotra Rokossowskiego, wybudowano nowy gmach. Dla upamiętnienia miejsca pierwotnej parafii krotoszyńskiej zdecydowano, że nowa świątynia ma być również drewniana. Co ciekawe w 1419 r., cztery lata po lokacji, właściciel miasta – Wierzbęta herbu Łódzia ufundował nowy kościół, pw. św. św. Piotra i Pawła, do którego przeniósł parafię. Świątynia stała w miejscu obecnego kościoła pod tym samym wezwaniem, była jednak drewniana, a w sąsiedztwie znajdował się cmentarz. Drewniany kościół św. św. Piotra i Pawła poleciła rozebrać właścicielka miasta – Ludwika z Mniszchów Potocka, która w jego miejscu nakazała w latach 1767 – 1774 wybudować stojącą do dziś, barokową świątynię.

Wzmiankowany w tekście legendy „okazały, piękny dwór” to rzecz jasna krotoszyński pałac. Pierwotnie był drewniany, wybudowany na wyspie, a po osuszeniu rozległego stawu (po którym do dziś pozostały jedynie obniżenia terenu i dwie sadzawki) otoczony ogrodem, a następnie parkiem. Współczesną formę pałac zawdzięcza gruntownej przebudowie wykonanej po 1819 r. na polecenie niemieckich książąt Thurn – Taxis.

„Legenda o świętej Jadwidze” ***opowieść o pielgrzymce świętej do Pępowa***

Dawno, dawno temu księżna śląska Jadwiga – później ogłoszona świętą, wybrała się z pielgrzymką na odpust do Pępowa. Trasa jej wędrówki wiodła przez Baszków, którego zachodnią część nazywano jeszcze wtedy Włodyka. Dziedzicem wsi był wówczas bardzo bogaty lecz samolubny pan. Rycerz ów nigdy nie był życzliwy i przyjazny ludziom, a jego zamek znajdował się tuż za wsią, po prawej stronie drogi wiodącej do Kobylina i dalej do Pępowa. Pół mili za dworem trakt przecinała niewielka rzeczka Orla, która wylała w wyniku obfitych opadów deszczu.

Wstąpiła więc księżna Jadwiga do zamku, prosząc rycerza, aby przewieziono ją przez wezbraną rzekę. Dziedzic widząc starą, ubogo ubraną kobietę podpierającą się zwykłym kosturem, początkowo odmówił, lecz po jakimś czasie, tknięty przeczuciem, wysłał za świętą Jadwigą służącego z powózką. Woźnica jednak księżnej już nie dogonił. Z daleka tylko ujrzał idącą po wodzie kobietę, która przeszła „suchą stopą” na drugi brzeg rzeki. Przerażony zawrócił do zamku, chcąc jak najszybciej powiadomić swego pana o tym dziwnym zjawisku. Zamku już jednak nie było. Zapadł się pod ziemię, a w miejscu gdzie stał, pojawił się niewielki pagórek, z głębi którego dochodziły jęki i zawodzenia potępionego rycerza.

Święta Jadwiga zaś podążała dalej w kierunku Pępowa. Wówczas budowano tam wieżę kościoła. Jeden z murarzy, widząc przechodzącą nieopodal starszą kobietę, zadrwił z niej myśląc, że to żebraczka. Zanim jednak skończył wypowiadać szydercze słowa, spadł z rusztowania i zabił się. Odtąd na budowie zaczęło się źle dziać. Cegły, które próbowano układać, z niewiadomych przyczyn spadały. Wieży świątyni w Pępowie nigdy nie zdołano ukończyć i po dziś dzień miejscowy kościół ma wieżę podobną do czworokątnego komina.



Komentarz historyczny

Święta Jadwiga Śląska (1178/80 – 1243) urodziła się i wychowała w zamku Andechs w Bawarii jako córka Bertolda VI von Andechs i Agnieszki von Rochlitz z rodu Wettinów. Miała czterech braci oraz trzy siostry, z których jedna była przełożoną klasztoru benedyktynek w Kitzingen koło Würzburga, dokąd młoda księżna została wysłana, aby zdobyć wykształcenie. W wieku 12 lat została wydana za mąż za śląskiego księcia Henryka I Brodatego. W 1202 r. Henryk został księciem całego Śląska, a w 1233 r. Wielkopolski. W roku 1229, podczas wojny z Mazowszem o ziemię krakowską, książę dostał się do niewoli. Uwięzionemu mężowi z pomocą przysłała Jadwiga, która dzięki mediacji z Konradem Mazowieckim doprowadziła do uwolnienia Henryka w zamian za zrzeczenie się roszczeń do Małopolski. Jadwiga urodziła siedmioro dzieci, między innymi Bolesława Pobożnego.

Zarówno Jadwiga jak i Henryk byli ludźmi bardzo pobożnymi. W 1209 r. złożyli śluby czystości, dbali o rozwój Kościoła i byli fundatorami wielu świątyń, w tym klasztoru sióstr cysterek w Trzebnicy. Jadwiga prowadziła także działalność dobroczynną, starając się o pomoc dla chorych i ubogich. Zorganizowała działalność wędrownego szpitala dla ubogich oraz otworzyła szpital dla trędowatych w Środzie Śląskiej, a kolejną placówkę leczniczą założyła w Trzebnicy. Po śmierci męża w 1238 r. zamieszkała w trzebnickim klasztorze, prowadzonym przez jej córkę Gertrudę. Zaangażowała się tam w ożywienie życia religijnego na Śląsku, między innymi poprzez sprowadzanie do tamtejszych kościołów duchownych z Niemiec. Wspierała również niemieckie osadnictwo w słabo wówczas zaludnionej zachodniej części Śląska, przyczyniając się tym samym do rozwoju rolnictwa.

Jadwiga już za życia zyskała opinię osoby świętej. Zmarła w roku 1243 w Trzebnicy i została pochowana w tamtejszym kościele. Księżną kanonizowano w 1267 r. jak patronkę Polski i Śląska.

Inną wersję podania podaje Oskar Kolberg w „Kamieniu św. Jadwigi w Pępowie”, wg którego pastuszkowie rozpowszechnili wieść o związany z Jadwigą cudownym wydarzeniu, przez co w miejsce przeprawy zaczęli przybywać ciekawscy wędrowcy, a z czasem wokół strumienia zaczęła powstawać wioska. Na wzgórku, gdzie św. Jadwiga miała odpocząć, wybudowano kościółek pod jej wezwaniem. Autor sugeruje, że przy strumieniu, który nazwano Dobrocznią, do dziś leży kamień z cudownym odciskiem stopy świętej.

Peregrynacje osób o pozycji księżnej odbywały się przy udziale dworskich orszaków, całkowicie niezależnie od skromności czy pobożności pielgrzymującego. Trasa takiej ewentualnej wędrówki z Trzebicy do Gniezna mogła częściowo pokrywać się ze szlakiem handlowym, który prowadził z Torunia do Wrocławia i przechodził m. in. przez Milicz, Baszków, Starygród i Pyzdry.

Pępowo pojawia się w źródłach w 1136 r. jako własność arcybiskupa gnieźnieńskiego. W 1257 r. utworzona została we wsi odrębna parafia, jednak drewniany kościół pw. św. Jadwigi powstał tu dopiero w XV w. Późnogotycka, murowana świątynia stanęła tam dopiero w 1625 r. i była remontowana oraz przebudowywana. Faktem jest, że w 1734 wichura zerwała dach kościoła i częściowo uszkodziła wieżę, którą odbudowano dopiero w 1830 r.

„Miasto Koźmin i żmije”

opowieść o powstaniu Koźmina i pochodzeniu jego nazwy

Przed wieloma, wieloma wiekami żył w pewnej wiosce człowiek niepodobny do innych i przez to bardzo nie lubiany, co często się zdarza w świecie żywych istot, bo i czarne gawrony zatłuką białego, gdy się taki wśród nich znajdzie. Krzywdzony i wyszydzany samotnik postanowił opuścić złą wioskę i swą ubogą chatę, aby zamieszkać z dala od ludzi. Długo wędrował, aż znalazł się w miejscu, gdzie nie było śladów ludzkich stóp, nie było ścieżek, dróg ani rozstajów. Wokół niego roztaczał się gęsty, dziewiczy las pełen jagód i grzybów, świergotu ptaków i głosów dzikich zwierząt. Wędrowiec musiał dokonać wyboru: wracać lub iść dalej.

Nad nim, na tle błękitnego nieba unosiły się dwa orły, które zachowywały się w górze jakoś niezwykajnie. Wędrowiec pomyślał, że oto niosą mu zapowiedź nowego losu. Nagle ptaki skierowały swój lot prosto ku niemu i zatoczywszy nad jego głową trzy koła, zawróciły. Znikły nad lasem, potem znów się ukazały niosąc w dziobach coś, co z oddali podobne było do zwiędłych pasemek trawy. To, co rzuciły z wysoka do jego stóp, okazało się, o zgrozo, żmijami.

Zaskoczony i zaciekawiony mężczyzna ruszył prosto ku miejscu, które wskazywały orły. Kroczył coraz spieszniej przez podmokłe łąki, pokonując zwalone wykroty kłód i przegniłych pni, aż dotarł do niewielkiej niecki, która okolona pierścieniem wrzosowiska, przypominała płaski wiklinowy kosz. Na jej dnie znajdowało się usypisko głazów i drobnych kamieni. Z tego to – niby kosza – orły, ku zdziwieniu wędrowca, wynosiły wijące się żmije.

Człowiek, kiedy usłyszał słaby i żałośliwy płacz, myślał początkowo, że to głos sowy, bo tylko ona potrafi płakać jak małe dziecko. Przybliżywszy się jednak do owej niecki był już pewien, że pośród kamieni i kłębówiska żmij wzywa pomocy ludzkie niemowlę. Kiedy ostrożnie wszedł na głazy, spostrzegł dziecinę owiniętą w giezłeczko kunsztownej roboty. Ciało otulały gady, jakby chciały je ogrzać. Drapieżne orły także pragnęły pomóc, jakby wiedziały, że ludzkie dziecko może uratować tylko człowiek. I tak też się stało.

Wędrowiec domyślał się, że źli ludzie, którzy skazali to dziecko na pewną śmierć, nie wrócą tu nigdy. Postanowił, że osiadzie w tym miejscu, a uratowane maleństwo wychowa jak własną córkę. Miejsce, w którym się znalazł było wyjątkowo piękne, jakby sama natura dała mu je w nagrodę za doznane krzywdy. Osłonięte obronną ścianą lasu było nasłonecznione i ciepłe. Rzeka tędy przepływająca wodę miała tak czystą, że sam król ptaków, orzeł, gasił w niej pragnienie. Na tej pięknej polanie wędrowiec zbudował wkrótce solidny dom. Jego ściany, wykonane ze zwalonych sosen, nawet zimą miały

zapach żywicy i ciepłego lata. Drzwi tego domu, jak serce dwojga zamieszkujących go ludzi, były zawsze otwarte dla puszczy, a ta w zamian niosła im swe proste dary, jak członkom swej wielkiej rodziny.

Mijały lata, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc mężczyzna pochylał się i usyszał jak stary świerk, a dziewczyna rosła i rozkwitała urodą jak dziewczanna. Zdawało się, że już nikt nigdy nie zburzy spokoju tych leśnych ludzi. Jednak pewnego dnia stary człowiek usłyszał z głębi lasu głosy, które tak dobrze pamiętał ze swej młodości. Po chwili na polanę, nazwaną przez jej mieszkańców Koszem Żmij, wjechał zbrojny orszak młodego rycerza. Ludzie i konie ugasił pragnienie w rzece i stanęli wkrótce w prostym, skromnym obejściu. Rycerz i jego towarzysze ujrzeli dymną chatę krytą trzcina, oblaskawione zwierzęta, które swobodnie odchodziły i przychodziły z boru.

Na powitanie przybyszów wyszedł z chaty ubrany w skóry stary człowiek z długą, białą jak śnieg brodą. Towarzyszyła mu smukła, urodziwa dziewczyna. Młody wódz wyraził zdziwienie, że oto w głębi puszczy tak wielkiej, której chyba nigdy przedtem stopa ludzka nie dotknęła, żyło i pracowało dwoje pełnych godności, spokoju i piękna ludzi. Wieczorem, przy ognisku wysłuchał opowieści o losach dziewczyny i jej opiekuna. I wtedy przypomniał sobie, że w księstwie, którego był spadkobiercą, przed dwudziestu laty trwały walki o władzę. Zginął poprzedni władca, a wkrótce po nim zmarła po urodzeniu córeczki jego żona. Niemowlę zostało porwane przez nieznaną ludzi i wszelki ślad po nim zaginął. Zdumiał się leśny człowiek usłyszaną opowieścią, długo coś w myślach rozważał, a potem wydobył z torby wyplecionej z łyka małe dziecięce giezleczo. Podał je księciu, wskazując jakieś znaki wyszyte kolorową nicią. I wówczas stała się rzecz dziwna i nieoczekiwana. Młody władca i cała jego drużyna oddali pokłon dziewczynie. Okazało się bowiem, że to ona jest prawowitą spadkobierczynią i władczynią księstwa.

Co było dalej, łatwo się domyślić. Młodzi pokochali się wzajemnie od pierwszych chwil spotkania. Książęca para, z towarzyszącym jej orszakiem, udała się w daleką podróż do stolicy księstwa i tam wkrótce odbyły się zaślubiny. Stary człowiek, gorąco nakłaniany przez książęcą parę do zamieszkania wraz z nimi, nie chciał opuścić swego starego domu. Przeżył w nim samotnie jesień i zimę.

Pewnego dnia, gdy powiał wiosenny wiatr, odezwały się w puszczy nieznane dotąd głosy: ryki krów, beczenie cieląt, owiec i kóz. To przez krzewy i wykroty przedzierała się na polanę karawana wozów. Ludzie z całym dobytkiem przybywali tu na rozkaz księcia, aby założyć nową osadę. Dali jej nazwę wywodzącą się z tego miejsca – KOSZŻMIJ – co później przekształciło się w KOŹMIN. Rzeczkę zaś, odwiedzaną przez orły, nazwali ORLĄ. Stary człowiek został obwołany naczelnikiem osady i żył jeszcze długo, otoczony miłością i opieką książęcej pary oraz powszechnym szacunkiem i przyjaźnią ludzi.



Komentarz historyczny

Gród wraz z podgrodzem istniał w miejscu dzisiejszego Koźmina Wielkopolskiego już w XII w., a najstarsza wzmianka pisana na temat miejscowości pochodzi z roku 1232, kiedy lokowano wieś na prawie niemieckim i nadano ją zakonowi templariuszy. Prawa miejskie Koźmin otrzymał pomiędzy rokiem 1251 a 1283 r.

Nazwa miejscowości pochodzi prawdopodobnie od staropolskiego imienia Kosma lub Kozma i ma charakter dzierżawczy. W zlatynizowanej staropolskiej formie nazwa Cosmin pojawia się we fragmencie „Cosmin opido Polonie”, spisane ok. 1300 roku średniowiecznego łacińskiego utworu opisującego żywot świętej Jadwigi „Vita Sanctae Hedwigis”.

„O Aleksandrze Przyjemskim i feldmarszałku pruskim”

opowieść o zmumifikowanych zwłokach Aleksandra Przyjemskiego

Do najcenniejszych zabytków Koźmina należy kościół pod wezwaniem Świętego Wawrzyńca. Początki obecnej fary sięgają panowania Mieszka I, która według podania fundowana była w miejscu dawnej świątyni pogańskiej.

W kościele w kaplicy fundatorskiej Przyjemskich herbu Rawa, spoczywa Aleksander Przyjemski, podstoli koronny, zmarły w 1694 roku. Na jego grobowcu znajduje się wierszem skreślone następujące epitafium:

*Jak w kołczanie niecała strzała się ukrywa,
Cały, choć pod grobowym marmurem spoczywa,
Podstoli w swojej trumnie jak żywy zostaje,
Żyją cnoty pobożne, żyją obyczaje,
Żyje w nich Aleksander i w ciele jest cały,
W niebie z Bogiem, na ziemi świętych czeka chwaty.*

Z napisem, jak i z trumną Aleksandra Przyjemskiego związane jest interesujące podanie. W roku 1756, gdy Koźmin był własnością Sapiehów, przeprowadzono w kościele gruntowną naprawę wnętrza. Wówczas też dokonano ekshumacji zwłok Aleksandra Przyjemskiego i ze zdumieniem odkryto, że ciało zmarłego, od ponad sześćdziesięciu lat spoczywające w grobowcu, nie uległo rozkładowi. Ówczesny proboszcz koźmińskiej fary, ksiądz Bielawski, tak to opisał w kościelnej kronice: „...znaleźliśmy ciało płci męskiej w niczym nie naruszone, owszem, żeby tylko przystąpiła krew i dusza w to ciało, bezpiecznie by mógł sądzić każdy, że ten nigdy nie był umarłym...” Owe doskonale zabalsamowane zwłoki Aleksandra Przyjemskiego stały się na długi czas sensacją nie tylko w Koźminie, ale i całej Wielkopolsce, toteż liczni zwiedzający przybywali ze wszystkich stron kraju, by obejrzeć tę osobliwość.

Po upadku Rzeczypospolitej dobra koźmińskie przeszły w ręce feldmarszałka pruskiego Kalckreutha. Ten, słysząc już wcześniej o wspomnianym osobliwym zjawisku, przybył do kościoła obejrzeć zwłoki Przyjemskiego. Podejrzewając, że może to być figura z wosku, pociągnął podstolego za wąsy. Nagle powieki zmarłego otworzyły się i martwe źrenice spojrzały groźnie na intruza, który ośmielił się zakłócić jego wieczny spoczynek na ojczystej ziemi. Niemiec tak się tym przestraszył, że w panice wybiegł z kościoła. Groźny wzrok zmarłego Aleksandra, prześladował go jednak odtąd dniem i nocą na koźmińskim zamku. Pruski feldmarszałek, nie mogąc już dłużej tego znieść, wsiadł w powóz i pospiesznie wyjechał do Berlina. Odtąd już więcej nie przyjeżdżał do Koźmina.



Komentarz historyczny

Parafia pw. św. Wawrzyńca w Koźminie została utworzona w 1318 r., a obecny kościół parafialny, pierwotnie gotycki, wybudowano w połowie XV wieku. Kościół został rozbudowany w stylu barokowym w latach 1670 – 1677, staraniem Andrzeja a następnie Aleksandra Przyjemskich.

Aleksander Przyjemski (1651 – 1694) – chorąży kaliski, podstoli koronny i starosta ostrzyński oraz poseł na sejm, dziedzic Koźmina i Rawicza. Blisko związany był z królem Janem III Sobieskim, wraz z którym złożył podpis na traktacie polsko – francuskim z 1675 r. Uczestniczył w poselstwie Krzysztofa Grzymułtowskiego do Moskwy, które zakończyło wojny z Rosją.

Od roku 1677 do śmierci rezydował na koźmińskim zamku, kończąc przebudowę miejscowej fary – dobudowując zakrystię oraz nową wieżę. Wnętrze wspomnianej świątyni wyposażył w barokowe stelle, ambonę i organy. W roku 1690 założył koźmińskie Kurkowe Bractwo Strzeleckie. Otaczał materialną opieką ubogich mieszczan oraz okoliczną ludność, czym zyskał sobie pamięć i sympatię miejscowych.

Zmarł bezpotomnie 18 lipca 1694 roku i spoczął w podziemiach kaplicy rodowej kościoła farnego. Po latach okazało się, że jego ciało przetrwało w stanie nienaruszonym.

„O Benickiej Grobli”

podanie o zjawie straszącej w Benicach

Przy drodze prowadzącej na północny-wschód, z Benic do Ustkowa, znajduje się stara grobla. Niegdyś był w tym miejscu okazałych rozmiarów staw, w którym mieszkańcy okolicznych wsi łowili ryby. Do dziś pozostały po nim jedynie podmokłe łąki, zmieniające się wiosną w bagniska i mokradła.

Dawno temu mieszkał w Benicach pewien człowiek, o którym powiadano, że „nie żyje dobrze z innymi”. Była to chciwa i nieżyczliwa postać, oszukująca i wykorzystująca nawet swoich nielicznych przyjaciół. Ponoć człowiek ów nigdy nikomu nie pomógł, a co gorsza wiele osób skrzywdził. We wsi i okolicach mężczyzna zawsze pojawiał się w towarzystwie olbrzymiego czarnego psa, równie groźnego i niedostępnego jak jego pan.

Pewnego ranka ludzie znaleźli owego człowieka wraz z psem na wspomnianej grobli. Obaj byli martwi. Zginąć musieli w strasznych okolicznościach, ponieważ ich ciała były całkowicie zwęglone. Być może była to straszliwa zemsta kogoś skrzywdzonego, a być może... to samo piekło upomniało się o grzeszną duszę nieszczęśnika. Nikt nigdy prawdy nie poznał i do dziś nic nie wiadomo o okolicznościach tej okropnej śmierci.

Ludzie pochowali owego człowieka wraz z psem, w miejscu gdzie znaleźli ciała – na grobli. Odtąd miejsce to cieszy się złą sławą. Ponoć niebezpiecznie jest zapuszczać się w te okolice po zmroku. Ludzie, którzy odważyli się to zrobić opowiadają, że widywali tam straszne zjawy – człowieka w czerni o gorejących ogniem oczach wraz z olbrzymim czarnym psem, któremu z pyska buchały płomienie. Nocą nie pozwalają one nikomu na przejście grobli, zapędzając śmiałków na pobliskie bagniska. Również zwierzęta wyczuwają w tym miejscu obecność złych mocy: psy przeraźliwie skomlą, a konie „stają dęba” spłoszone, nie chcąc iść dalej.



Komentarz historyczny

Benice to jedna z najstarszych miejscowości w powiecie. Pierwsza wzmianka o niej pojawia się w roku 1302. Nazwa wsi, która do XVI stulecia brzmiała „Bynice”, wywodzi się od zniekształconego imienia Beniamin lub Benedykt. W 1358 roku Benicom nadano prawa miejskie, które między rokiem 1510 a 1533 miejscowość utraciła. Od XIV do XVII wieku wieś była własnością Rozdrażewskich herbu Doliwa.

W 1598 Anna z Łukowa Rozdrażewska ufundowała w Benicach nowy, późnorennesansowy, murowany kościół parafialny pw. św. Mikołaja, z przeznaczeniem dla braci czeskich. Wewnątrz świątyni znajduje się między innymi nagrobek fundatorki z początku XVII stulecia. W roku 1908 kościół nawiedził pożar, po którym remont budynku trwał aż do 1912. W okolicy świątyni znajduje się niewielki cmentarz, na którego środku umieszczono głaz upamiętniający proboszcza z okresu dwudziestolecia. Był to ks. Franciszek Grzesiek (1879 – 1842), zamęczony przez Niemców w obozie koncentracyjnym w Dachau.

W okresie zaborów wieś stanowiła odrębny majątek książąt Thurn und Taxis. 25 stycznia 1945 roku w okolicach wsi miało miejsce starcie wojsk pancernych sowieckiej IV Armii Pancernej I Frontu Ukraińskiego z resztkami niemieckich dywizji pancernych, wycofujących się do Głogowa. 26 maja roku 1946 we wsi i jej okolicach doszło do potyczki lokalnego oddziału podziemia niepodległościowego ppor. Zygmunta Borostwoskiego ps. „Bora” z formacjami Armii Ludowej, Urzędu Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej.

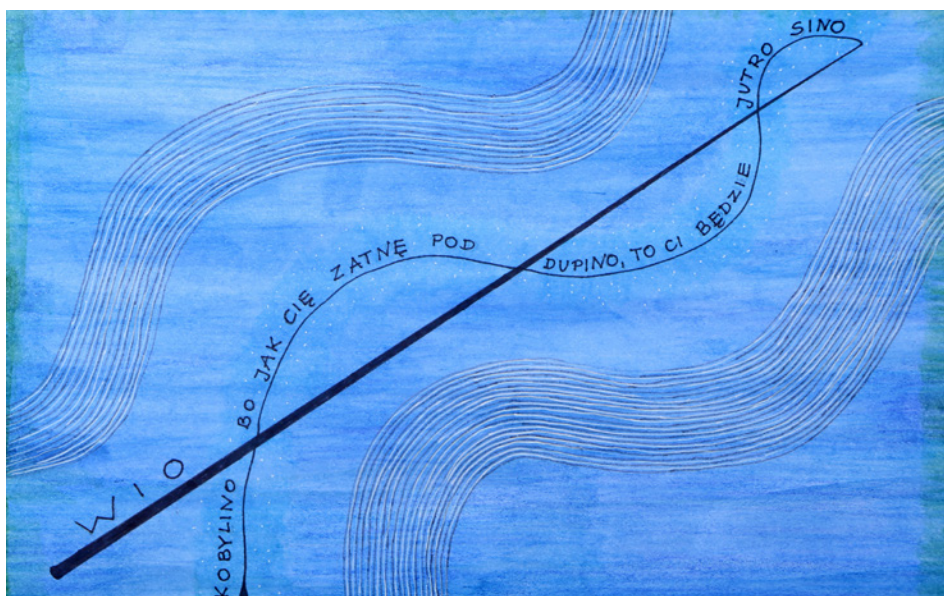
„O Kobylinie, Dubinie i Jutrosinie” ***opowieść o nazwach miejscowości leżących nad Orlą***

Nad brzegiem modrej Orli, płynącej poprzez okoliczne łąki, pola i ugory wznoszą się liczne wioski i trzy stare miasteczka: Kobylin, Jutrosin i Dubin. O założeniu i nazwaniu tych miasteczek mówi podanie, uznawane zresztą przez okoliczną ludność jako pogodny żart.

Początek tym miastom dali rzekomo trzech bracia i każdy z nich pragnął uwiecznić swoje imię nadając nazwę założonej osadzie. Sprawa wymagała sprawiedliwego rozwiązania. Owa trójka wybrała się więc po radę do pewnego pustelnika zamieszkałego niedaleko Jutrosina. Pustelnik, powszechnie znany jako Szymon, prowadził życie samotne i pobożne. Do dziś dziadkowie opowiadają o nim, iż w młodych latach prowadził wygodne życie. Chcąc zasłużyć się Bogu i ludziom, zerwał z marnościami świata i zamieszkał w ubogiej chatence pod lasem, zostając pustelnikiem. Żył z jałmużny, poszcząc i modląc się. Wszyscy otaczali go należną czcią i słuchali, bo każdemu udzielał mądrych rad, każdego pocieszał. Musiał być uczonym, skoro go wszyscy nazywali „*mądrym*”.

U tegoż pustelnika trójka bohaterów pragnęła zasięgnąć porady, licząc, że stary i mądry Szymon na pewno wybawi ich z kłopotliwej sytuacji. Następnego dnia kazali swemu wiernemu woźnicy Andrzejowi zaprząć konia do powozu i udali się do pustelnika pod lasem. Droga była jednak błotnista, bagnista i trudna do przebycia. Tuż pod Rogożewem furman wraz ze swoimi panami ugrzązł w błocie. Nie pomogły nawoływania, na nic zdały się zaklęcia, stara kobyła uparła się i nawet nie myślała iść dalej. Wtedy woźnica zawrzał gniewem, powstał, świsnął batem i zakrzyknął donośnym głosem: „Wio, kobylino, bo jak cię zatnę pod dupino, to ci będzie jutro sino!”

Jednak i to nie pomogło złamać ślepego uporu zwierzęcia. Fakt ten jednak tak wzruszył serca braci szlachciców, że odstąpili od powziętej decyzji i kazali słudze zawrócić z drogi. Ten trywialny zwrot zrobił wrażenie na braciach i zdecydował o powstaniu nazw: Kobylin (od kobylin-o), Dupin (od dupin-o) i Jutrosin (od jutro sin-o). Tak kończy się legenda o pochodzeniu nazw trzech sąsiednich miasteczek.



Komentarz historyczny

Dubin to dawne miasto, a obecnie wieś w powiecie rawickim i gminie Jutrosin. W roku 1284 Dubin uzyskał prawa miejskie, które utracił w roku 1895. Jeszcze w XIII wieku miejscowość była wzmiankowana jako Dupin. Nazwa zdaje się wywodzić od staropolskiego słowa „dup”, co dawniej oznaczało „wydrążenie” lub „dziupłę”.

Historia Jutrosina sięga wczesnego średniowiecza, a najstarsza wzmianka o nim datowana jest na rok 1281. Dokładna data lokacji miejskiej Jutrosina jest trudna do ustalenia ze względu na nawiedzające miasto liczne pożary, w czasie których spłonęły najstarsze dokumenty. Być może miała miejsce jeszcze przed 1472 r., lecz bardziej prawdopodobną datą jest rok 1534. Z kolei nazwa Jutrosin ma charakter dzierżawczy i wywodzi się od imienia Jutrocha – być może dawnego właściciela wsi.

Pierwsza wzmianka o Kobylinie, już jako mieście, pochodzi z 1303 r. Data samej lokacji miejskiej jest nieznana, jednak doszło do niej z pewnością wskutek starań ówczesnego właściciela – wojewody kaliskiego Mikołaja Przedpełkowica z rodu Łodziów – być może jeszcze za panowania Przemysła II (1279 – 1296). Obok nazwy Kobylin, mającej charakter dzierżawczy i wywodzącej się od przezwiska/przydomku „Kobyła”, w średniowieczu miasto występowało jeszcze pod zlatynizowaną nazwą Venecia.

„O księciu Sapieże”

opowieść o okrutnym księciu, chytrym krawczyku i diablach

W powiecie krotoszyńskim nad rzeką Orlą znajduje się bardzo stary zamek, który w XIV wieku był własnością Jana Borkowica, brata owego okrutnego wojewody poznańskiego, Maćka, skazanego przez króla Kazimierza Wielkiego na śmierć głodową. Jan Borkowic chciał pomścić śmierć brata i rozpoczął nowe knowania przeciw królowi Kazimierzowi, ale pojmany dał głowę pod katowski topór, a dobra jego przeszły na własność państwa.

Nad zamkiem koźmińskim wisiało jakieś fatum, gdyż zmieniał potem ciągle swych właścicieli. W połowie XV wieku należał już do podskarbiego koronnego Hińczy z Rogowa, na początku XVI wieku stał się własnością rodziny Górków, potem Czarnkowskich, Weicherów, w XVII wieku przeszedł w posiadanie rodu Przyjemskich, a w wieku XVIII był siedzibą książąt Sapiehów.

Jeden z dziedziców Koźmina, książę Piotr Sapieha, stał się niesławnym bohaterem miejscowych podań ludowych. Wedle tych opowieści był to magnat krewki i srogi, za byle przewinienia karał bardzo surowo, a za kradzież znał tylko jeden wyrok: szubienicę. Lękiem napawała mieszczan i okolicznych chłopów mała narożna izdebka więzienna w wieży zamkowej, z zakratowanym oknem. Opowiadano o niej, iż ściany i podłogę ma wyłożoną nożami, kosami i hakami i nazywano ją „madejowym łóżem”.

Nie taki wszakże diabeł straszny, jak go malują. Miał książę Sapieha sposoby na ludzi, ale i oni mieli czasem sposoby na niego.

Pewnego razu szedł książę drogą obok zamku, aż spotkał mieszczanina koźmińskiego.

– Kim jesteś, kochanku? — zapytał Sapieha uprzejmie, bo w mowie był zawsze układny.

– Krawiec jestem, do usług księcia pana — odparł mieszczanin.

– Bardzo to pięknie się składa — rzekł książę — bo właśnie potrzebuję nowego kontusza. Dostaniesz cztery łokcie sukna i w trzy dni uszyjesz mi z nich kontusz. Jeśli zrobisz, dostaniesz sutą zapłatę, a jeśli nie, pójdziesz do wieży na „madejowe łóż”.

Krawczyk w mig pojął, że z czterech łokci sukna kontusza nie wykroi, ale odmówić nie mógł.

– Dobrze, wasza książęca mość — rzekł rezolutnie — uszyję, jeno będą dwie przymiarki.

– Zgoda, byle w ciągu trzech dni — rzekł książę i rozkazał mu iść z sobą do zamku.

Krawczyk wziął miarę z księcia, zabrał sukno i wrócił do warsztatu. Tu dopiero zaczęło się zmartwienie. Mierzył i tak i siak, medytował, pukał się w czoło, ale to nic nie pomagało. Sukna wciąż było za mało i albo brakowało na plecy, albo na wyloty.

Nie namyślając się dłużej skroił kontusz, ale bez wylotów, uszył go pięknie i zaniósł nazajutrz do księcia.

– Doskonale! – rzekł książę bardzo zadowolony, bo kontusz leżał jak ulał.

– A wyloty będą jutro – wyjaśnił krawczyk, zauważył przy tym, iż w komnacie nie ma zwierciadła.

Przyszedłszy do domu wyciął tył kontusza pozostawiając jedynie podszewkę i z uzyskanego sukna wykroił wyloty. Rankiem zaniósł całość do zamku i zręcznie sam wdział kontusz na księcia. Sapieha przeszedł się po komnacie, zarzucił sobie raz i drugi wyloty na ramię i podkręciwszy wąsa tymi odezwał się słowy:

– Zuch z ciebie krawczyku, i widzę, że umiesz kroić. A moi krawcy, hultaje, ciągle ode mnie brali pięć albo sześć łokci! Już im się teraz nie dam okradać.

I rzucił krawczykowi sakiewkę dukatów. Krawczyk zdjął z księcia kontusz, pięknie go złożył na fotelu, a porwawszy kieskę z dukatami, czmychnął z Koźmina tak szybko, że ocknął się dopiero pod Jarocinem.

Nazajutrz, gdy lokaj przybył ubrać księcia pana, wyszedł na jaw figiel krawczyka. Na wyciętych plecach kontusza była przypięta kartka z napisem: „*A tył to waszej książęcej mości skroi już kto inny!*” Sapieha rozsierdził się okrutnie i wysłał natychmiast hajduków po krawczyka, ale ten przepadł jak kamień w wodzie. A słowa chytrego krawczyka miały się sprawdzić niemal dosłownie.

Miał książę Sapieha w parku staw i hodował w nim osobliwą odmianę karpi królewskich. Otóż zdarzyło się, iż któregoś dnia o świcie ogrodnik przyłapał chłopą rybaka, który ułowił z sadzawki trzy piękne karpie. Sapieha, niewiele myśląc, kazał chłopą powiesić. Ale tego już i piekło ścierpieć nie mogło. Jak to? Zgładzić człowieka za trzy ryby? Gdy więc nieszczęsny biedak zawisł na szubienicy, zerwał się nocą straszliwy wicher, który powyrywał wszystkie drzwi i okna z koźmińskiego zamku. A potem sfora diabłów wpadła przez czeluści okienne i porwawszy grzeszną duszę książęcą, powlokła ją prosto do piekła. Nazajutrz znaleziono w komnacie sypialnej zamku koźmińskiego martwe ciało okrutnego magnata.



Komentarz historyczny

Piotr Paweł Sapieha (1701 – 1771) był synem Jana Kazimierza i Ludwiki Opalińskiej. Dzięki wpływom ojca i jego znajomości z Aleksandrem Mienszykowem został wysłany na dwór cara Piotra I, gdzie został szambelanem. Za pośrednictwem carycy Katarzyny I został zaręczony z Marią Mienszykówną, a po zerwaniu zaręczyn, z bratanicą carycy Marianną ze Skowrońskich, z którą wziął ślub. Po powrocie do Polski został starostą wschowskim i zditowieckim oraz stolnikiem litewskim.

Po śmierci ojca stał się jednym z najpotężniejszych magnatów w Polsce. Podpisał elekcję Stanisława Leszczyńskiego przebywając u boku króla aż do abdykacji i cały czas próbując zbudować antyrosyjską koalicję polsko-szwedzką. Wraz z Franciszkiem Radzewskim bezskutecznie zabiegał o zorganizowanie antyrosyjskiej i antysaskiej konfederacji, dla której chciał uzyskać poparcie Szwecji, toczącej wojnę z Rosją. Z dworem pogodził się ostatecznie w 1744 r., kiedy otrzymał województwo smoleńskie oraz Order Orła Białego.

Był zajadłym przeciwnikiem Familii, lecz pogodziwszy się z nią poparł Stanisława Augusta Poniatowskiego. W 1766 r. sprzedał zadłużone dobra litewskie i osiadł w Wielkopolsce. Od początku włączył się w działania konfederacji barskiej, wraz z siostrą Katarzyną Agnieszką organizował działania konfederacji w Wielkopolsce. Gdy w 1770 r. wojska pruskie weszły na teren dóbr Piotra, ten w obawie przed zemstą Prusaków wyjechał do Drezna, a następnie do Żyliny, gdzie zmarł.

Czarną legendę Sapiehów propagowali w XIX stuleciu zaborcy, a powyższe opowiadanie jest tego doskonałym przykładem.

„O niegrzecznym dziecku” **opowieść o cmentarzu w Grzegorzewie**

Dawno temu we wsi Grzegorzew niedaleko Krotoszyna mieszkała pewna wdowa, która po śmierci męża samotnie wychowywała synka. Dziecko było bardzo niegrzeczne i w ogóle nie słuchało matki, która z żalu po mężu, przelała na nie całą swoją miłość. Rozpieściła chłopca i pobłażała mu we wszystkim, nie potrafiąc go nigdy skarcić.

Niestety w wyniku jakiejś choroby dziecko, ku rozpaczy matki, zmarło i zostało pochowane na grzegorzewskim cmentarzu. Kiedy nazajutrz po pogrzebie matka poszła na cmentarz, z przerażeniem ujrzała wystającą z grobu rączkę synka. Przykryła ją ziemią, jednak następnego dnia ujrzała taki sam widok. Zrozpaczona poszła więc po radę do krotoszyńskiego proboszcza. Ten powiedział jej, aby wzięła różgę (której za życia dziecka nigdy nie używała) i trzykrotnie uderzyła nią w wystającą rączkę. Mimo wielkiego bólu kobieta zrobiła tak, jak jej poradził duchowny i odtąd nigdy więcej ręka dziecka nie pokazała się.



Komentarz historyczny

Najstarszym odnalezionym w naszym regionie grobem jest neolityczny pochówek z okresu nazywanego przez archeologów kulturą amfor kulistych (2700 – 2000 p.n.e.). Grób ten, odkryty pod Smoszewem, to najstarsze świadectwo kultury duchowej w naszych okolicach. W podkrotoszyńskich lasach zlokalizowano również około 120 prehistorycznych kurhanów, z których większość pochodzi z drugiego okresu epoki brązu (1450 – 1200 p.n.e.).

Pierwszy krotoszyński cmentarz znajdował się w okolicy kościółka św. Marii Magdaleny w Starym Krotoszynie. Nie znamy jego dokładnego położenia, nie wiemy również jak był duży. Fakt funkcjonowania w tym miejscu nekropolii (być może nawet od XIII stulecia) jest powiązany z prawdopodobnym istnieniem w tym miejscu świątyni i parafii.

Prawdopodobnie od 1419 roku istniał cmentarz na obszarze dzisiejszego Małego Rynku w Krotoszynie i funkcjonował tu aż do lat 30. XVIII w., kiedy pobudowano na jego miejscu gmach klasztoru dla zakonu trynitarzy (dzisiejsze muzeum). Część byłego cmentarza zagospodarowano wówczas na pochówki tutejszych zakonników. Od 1597 r. niewielki cmentarz znajdował się także w pobliżu kościoła pw. św. Jana Chrzciciela.

W centrum miasta zaczął funkcjonować jeszcze jeden cmentarz – przy ufundowanym w 1572 r. kościółku św. Fabiana i św. Sebastiana (św. Rocha). Utworzono go po częściowym osuszeniu tamtejszych podmokłych gruntów. Nekropolia, pierwotnie znajdująca się poza miastem, służyła do grzebania ofiar nader częstych w Krotoszynie epidemii, z czasem jednak stała się cmentarzem parafialnym krotoszyńskich katolików. Zlikwidowali ją niemieccy okupanci w latach 1940 – 1942.

Od 1638 roku własny cmentarz przy ul. Ostrowskiej posiadała mieszkająca w Krotoszynie społeczność żydowska. Ludność ta, napływająca do miasta prawdopodobnie od końca XV w., w tym samym stuleciu wybudowała także synagogę oraz szkołę, a pod koniec XVIII stulecia stanowiła niemal połowę mieszkańców miasta (żyła tu największa gmina żydowska w całym województwie kaliskim). Od połowy XIX w. nastąpił znaczący odpływ żydowskich mieszkańców Krotoszyna, z których po roku 1918 pozostało jedynie kilka rodzin. Cmentarz przy dzisiejszej ul. Ostrowskiej został zniszczony przez Niemców w latach 1940 – 1941.

Od XVII w. w Krotoszynie osiedlali się Niemcy, którzy uciekali przed prześladowaniami religijnymi czasów wojny trzydziestoletniej. Jako w zdecydowanej większości ewangelicy, zapewne już w XVII, a na pewno na początku XVIII w. dysponowali własną, niewielką nekropolią, która znajdowała się we wsi Grzegorzew (obecnie okolice ul. Grzegorzewskiej i Gorzupskiej). Co ciekawe właśnie z tym cmentarzem związana jest znana legenda „O niegrzecznym dziecku”. To miejsce spoczynku funkcjonowało aż do początku XX wieku.

Bardziej znaną nekropolią ewangelicką jest cmentarz przy ul. Rawickiej (tzw. cmentarz niemiecki), otwarty staraniem krotoszyńskiego pastora Georga Christiana Bockrodta w 1815 r. i funkcjonujący aż do roku 1945. W roku 1912 wybudowano na tym cmentarzu kaplicę, którą rozebrano w latach sześćdziesiątych.

Ponadto w okolicy Krotoszyna, nieopodal drogi do Chwaliszewa, znajduje się zbiorowa mogiła ostatniej w mieście epidemii cholery z 1868 r. Przy ul. Sulmierzyckiej mieści się też nieco starsza mogiła choleryczna, a w niedalekim Konarzewie do 1945 r. funkcjonował cmentarz ewangelicki.

Współcześnie funkcjonującą nekropolią jest cmentarz parafialny przy ul. Raszkowskiej, który powstał na początku XX stulecia (na pewno działał już w 1906 r.) i znajduje się obecnie pod opieką parafii św. Jana Chrzciciela w Krotoszynie. Gotowa jest już jednak kolejna nekropolia, tym razem cmentarz komunalny w Durzynie.

„Odrzygośćka”

podanie o powstaniu nazwy stawu na Błoniu

Dawno, dawno temu na rozległych błoniach położonych na wschód od Krotoszyzna, przy trakcie wiodącym w kierunku Kalisza, stała karczma. W gospodzie często zatrzymywali się podróżni, aby odpocząć i posilić się przed dalszą drogą.

Karczma należała do niezwykle chciwej kobiety, która z zawiścią patrzyła na bogate stroje odwiedzających jej gospodę gości, na ich pękate sakiewki i wozy kupieckie wyładowane po brzegi wszelakimi dobrami. W swojej pazerności postanowiła sama również zostać „*wielką panią*”, a swych trzech dorodnych synów chciała uczynić bogaczami. Miała też czwartego syna, najmłodszego, jego jednak nie kochała. Uważała go za niedorajdę i głupca, gdyż lubił codzienną pracę i cieszył się tym, co posiada.

Dochody z prowadzenia karczmy wystarczały na dostatnie życie, ale już na realizację marzeń o bogactwie było ich zbyt mało. Zaczęła więc karczmarka oszukiwać, a następnie okradać odwiedzających ją gości. Rozzuchwalona i coraz bardziej pazerna gospodyni usypiała gości wywarami z ziół, aby móc bezpiecznie przetrząsać śpiącym kieszenie i ich okradać. Coraz częściej ludzie mówili, że „*w karczmie gości z grosza odzierają*”.

Aż raz zdarzyło się, że do gospody zajechał bardzo bogaty kupiec z córką, która towarzyszyła mu w handlowej wyprawie, ponieważ bardzo chciała zwiedzić świat. Kupiec przybył z Kalisza na kolejny krotoszyński jarmark. Dzień był piękny, dziewczyna wyszła więc z karczmy, aby rozejrzeć się po okolicy. Towarzyszył jej najmłodszy syn karczmarki, któremu od pierwszego wejrzenia spodobała się urodziwa panna. W tym czasie nieostrożny kupiec zaczął przy gospodynie liczyć złote talary, które wysypał z pękatej sakiewki na stół. Kobiecie oczy zabłysnęły chciwością, a w głowie zrodziła się straszliwa myśl: „*Tego gościa musi uśpić na zawsze, aby móc zawładnąć jego bogactwem*”. Nasypała więc do piwa trucizny i już... już... miała je podać do stołu, gdy podróżny, jakby tknięty nagłym przeczuciem, poprosił o świeże, zimne piwo z piwnicy. Chcąc nie chcąc zeszła więc karczmarka do podziemi. W tym czasie weszli do izby jej trzej starsi synowie. Byli spragnieni, bo dzień był upalny, widząc więc przygotowane w dzbanie piwo, rozlali je do kufl i szybko wypili. Chwilę potem padli martwi na podłogę. Wychodząca z piwnicy karczmarka zobaczyła leżących bez życia ukochanych synów, których sama przez swą chciwość zamordowała. Oszałała z rozpaczyny wybiegła i rzuciła się do pobliskiego stawu. Odtąd miejsce, gdzie utonęła karczmarka zaczęto nazywać Odrzygośćką, bowiem kobieta „*gości z grosza odzierała*”.

Najmłodszy, czwarty syn nieszczęsnej karczmarki spodobał się córce bogatego kupca. Afekt był wzajemny i po kilku latach młodzi pobrali się. Na przedmieściu kaliskim, bliżej miasta, młodzi wybudowali nową gospodę, którą nazwali „Pod Złotym Lwem”. W starej karczmie bowiem straszycie i podróżni omijali ją z daleka. Mówiono, że pokutuje tam duch chciwej karczmarki.



Komentarz historyczny

Wspomniane w treści legendy jarmarki odbywały się na krotoszyńskim Rynku już od XV wieku. Było ich kilka w ciągu roku, a najwięcej – dziesięć – na przełomie XVII i XVIII w.

Biorąc pod uwagę wielkość i usytuowanie Krotoszyna, jest bardzo prawdopodobne, że już od początku istnienia miasta funkcjonowała w nim karczma. Najstarszy przybytek tego typu, co do istnienia którego mamy pewność, mieścił się na przedmieściu kaliskim – u zbiegu al. Powstańców Wielkopolskich z ulicą Ostrowską i nosił nazwę... „Pod Lwem”.

Inna wersja legendy o „Odrzygoście” wspomina, że gospoda wraz z karczmarką miała zapaść się pod ziemię. Na miejscu dawnej karczmy rozlały się następnie wody istniejącego do dziś Jeziora Odrzykowskiego.

„Podanie o wsi Roszki”

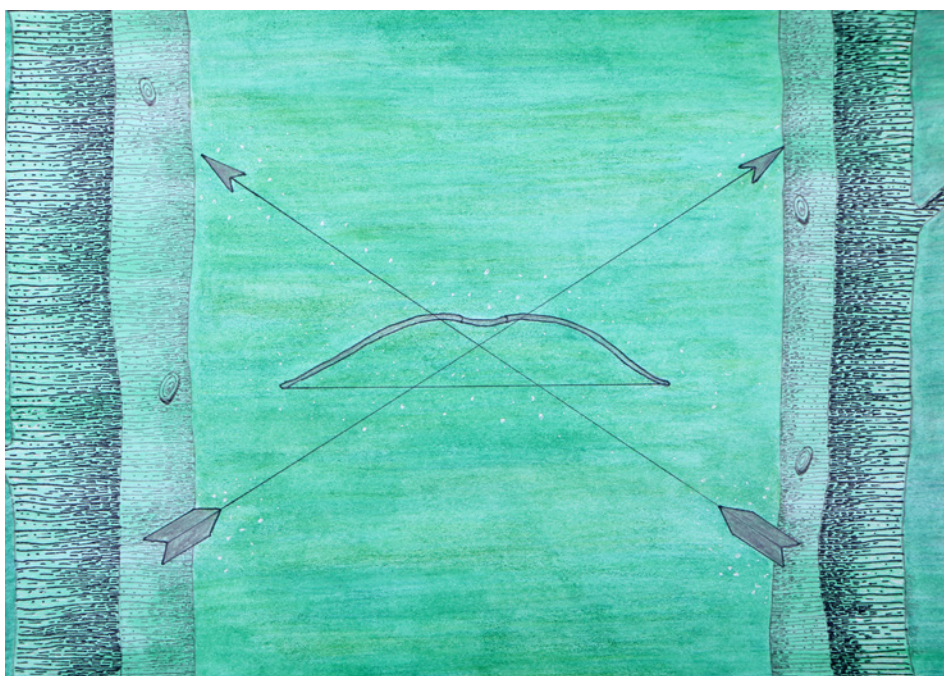
opowieść o litewskich łucznicach i wilkach

Roszki leżą wśród lasów w północno – wschodniej części powiatu krotoszyńskiego. Według miejscowej tradycji pierwotna nazwa wsi brzmieć miała Rożki.

W dawnych czasach, gdy terytorium naszego kraju porastały jeszcze gęste, wypełnione zwierzyną puszcze, dziedzic tych ziem postanowił założyć pośród lasów nową osadę. Przybyli bali się jednak zamieszkać wśród borów z powodu plagi wilków. Ogromna ilość tych zwierząt rozpanoszyła się wówczas w okolicznych lasach do tego stopnia, że nawet w biały dzień atakowały stada bydła i owiec.

Aby zaradzić temu problemowi, dziedzic postanowił sprowadzić z dalekiej Litwy strzelców, którzy oswojeni na co dzień z dziką zwierzyną mieli strzec bezpieczeństwa miejscowych kmieci.

Nazwa wsi miała wziąć się stąd, że owych litewskich strzelców osadzono w czterech rogach („rożkach”) wytrzebionej wcześniej polany, na której wkrótce zbudowano osadę.



Komentarz historyczny

Autorem legendy o pochodzeniu nazwy wsi od ustawionych w jej rogach tuczników jest Franciszek Mierniczak. Najprawdopodobniej jednak nazwa Roszki wywodzi się od znajdującej się niegdyś w okolicy kaplicy poświęconej św. Rochowi – patronowi chroniącemu od zaraz i epidemii, nader częstych w naszych okolicach.

Sama wieś zdaje się być o wiele młodsza niż czasy, w których osadzono akcję legendy, ponieważ pojawiła się prawdopodobnie w XVII stuleciu.

„Przygoda Jana Sobieskiego” *opowieść o wizycie króla Jana III Sobieskiego w krotoszyńskim pałacu*

W ostatniej ćwierci XVII stulecia właścicielem Krotoszyna był pułkownik Zygmunt Gałęcki, towarzysz broni i osobisty przyjaciel hetmana, a potem króla Jana Sobieskiego. Według miejscowej tradycji Sobieski miał kilkakrotnie gościć w Krotoszynie, a nawet osobiście sadzić najstarsze lipy w otaczającym pałac parku.

Gałęcki, rozmiłowany w polowaniach na dzikiego zwierza, urządził sobie w parku zwierzyniec. Swobodnie hasały po nim sarny, jelenie, daniiele, łosie i mnóstwo drobniejszej zwierzyny oraz różnego gatunku ptactwo. Po parkowych alejkach i trawnikach przechadzały się bażanty, pawie i głuszce. Za ogrodzeniem znajdowały się lisy i wilki, a po zarybionych sadzawkach pływały łabędzie i dzikie kaczki. Największą jednak chlubą dziedzica były dwa ogromne niedźwiedzie, przytroczone za pomocą łańcuchów do solidnych dębowych pali.

Pewnego razu jeden z niedźwiedzi zerwał się z uwięzi i wędrował po parku, budząc popłoch. Zwierzę niedawno złapano w jednej z kniei w okolicy i nie zdążyło się jeszcze przyzwyczaić do niewoli oraz nowego otoczenia. Zdarzyło się to akurat wówczas, gdy w gościnie u Gałęckiego bawił król Jan III Sobieski. Wyszedł on tego dnia wczesnym rankiem na spacer i przechadzał się samotnie po parku, podziwiając wiekowe drzewa oraz ukwiecone trawniki. Nagle zatrzymał się jak wryty...

Kilkanaście kroków przed nim stał wielki brunatny niedźwiedź w obroży na szyi i z zerwanym łańcuchem. Król był zupełnie bezbronny, nie miał przy sobie nawet kija, którym mógłby się od zwierzęcia opędzić. Niedźwiedź, na widok istoty podobnej do tych, które go nie tak dawno schwytały i przywiodły w to nieprzyjazne i obce miejsce, wspiał się na tylnych łapach i z groźnym rykiem ruszył na przerażonego monarchę. Już tylko kilka kroków dzieliło bestię od króla, gdy nagle z krzaków wypadł z wielkim jazgotem niewielki pies, a tuż za nim człowiek z rohatyną w ręku. Zaatakowany niedźwiedź jednym uderzeniem łapy powalił psiaka i rozjuszony rzucił się na człowieka. Ten jednak błyskawicznie, z całych sił, wbił grot włóczni w pierś zwierzęcia. Niedźwiedź ugodzony w samo serce padł martwy na murawę.

W tym czasie w parku zaroilo się już od ludzi. Wieść o zerwaniu się z uwięzi dzikiego zwierza i groźba, jaka zawisła nad życiem monarchy, rozeszły się błyskawicznie. Wszyscy ruszyli królowi na ratunek, w tym sam Gałęcki, śmiertelnie przerażony, biegł z pistoletem w ręku. Odetchnął z ulgą, widząc całego i zdrowego Sobieskiego, stojącego nad martwym niedźwiedziem.

Król zdążył już odetchnąć po chwilach grozy i opowiedział Gałęckiemu całe zdarzenie, podkreślając odwagę i męstwo nieznanego sobie człowieka, który uratował mu życie. Nikt nie wiedział, kim był ów bohater, ponieważ ten zniknął gdzieś w całym zamieszaniu. Rozpoznano jednak ciężko rannego psa, który należał do stróża Wawrzyńca. Na polecenie Gałęckiego służba odszukała i przywiodła przestraszonego mężczyznę przed oblicze obu panów. Stróż drżał z obawy przed karą za zabicie niedźwiedzia, który był ulubieńcem dziedzica. Król natychmiast rozpoznał wybawcę i wyciągnąwszy prawicę, uścisnął dłoń struchlałego chłopca.

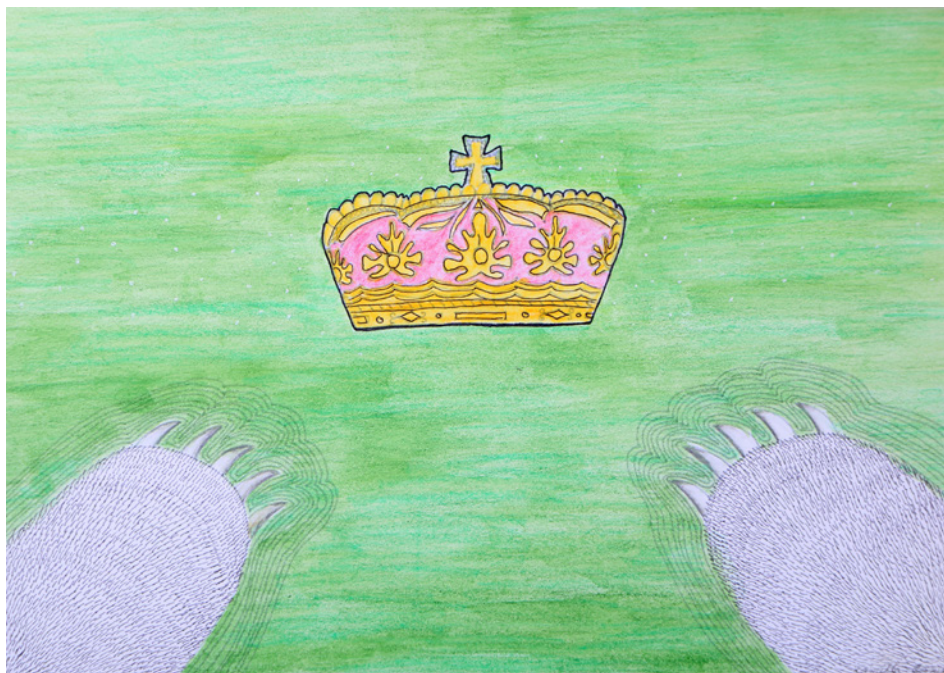
– Serdeczne Bóg zapłać za salwowanie mi życia! – zawołał szczerze monarcha – Człeku! Gdyby nie ty i twój odważny pies Rzeczpospolita nie miałby króla! Jako cię zwą? – zapytał.

– Wawrzyn... Wawrzyniec Kozal – wybąkał drżącym głosem stróż, miętosząc w rękę czapkę i zerkając trwożnym wzrokiem na stojącego obok Gałęckiego.

Ten jednak poklepał go po ramieniu i rzekł łaskawie:

– Dzielnie postąpiłeś Wawrzynie! Uratowałeś nie tylko króla, ale i honor mego domu. Jestem z ciebie dumny.

Dopiero wówczas Kozal uspokoił się i pochylił do nóg obu panom. Został przez nich rzecz jasna sowicie nagrodzony oraz zyskał sławę. Odtąd wszyscy odnosili się do niego z szacunkiem.



Komentarz historyczny

Jan Sobieski rzeczywiście odwiedził Krotoszyn, jednak miało to miejsce dużo wcześniej – w marcu 1646 r., kiedy wraz z bratem Markiem podróżował na studia do Krakowa. Właścicielem miasta był wówczas Jakub Hieronim Rozdrażewski, spokrewniony z Sobieskimi przez matkę – Gryzelę Sobieską. Oczywiście siedemnastoletni Jan nie był wtedy jeszcze ani hetmanem, ani królem.

Koronowane osobistości jak do tej pory dwukrotnie przybywały z oficjalnymi wizytami do Krotoszyna. W 1623 r. na dworze Rozdrażewskich zatrzymał się Zygmunt III Waza, wracający z podróży do Prus, a 17 października 1793 r. przyjechał do Krotoszyna król Fryderyk Wilhelm II, wizytujący ziemie zagrabione przez Prusy w ramach II rozbioru.

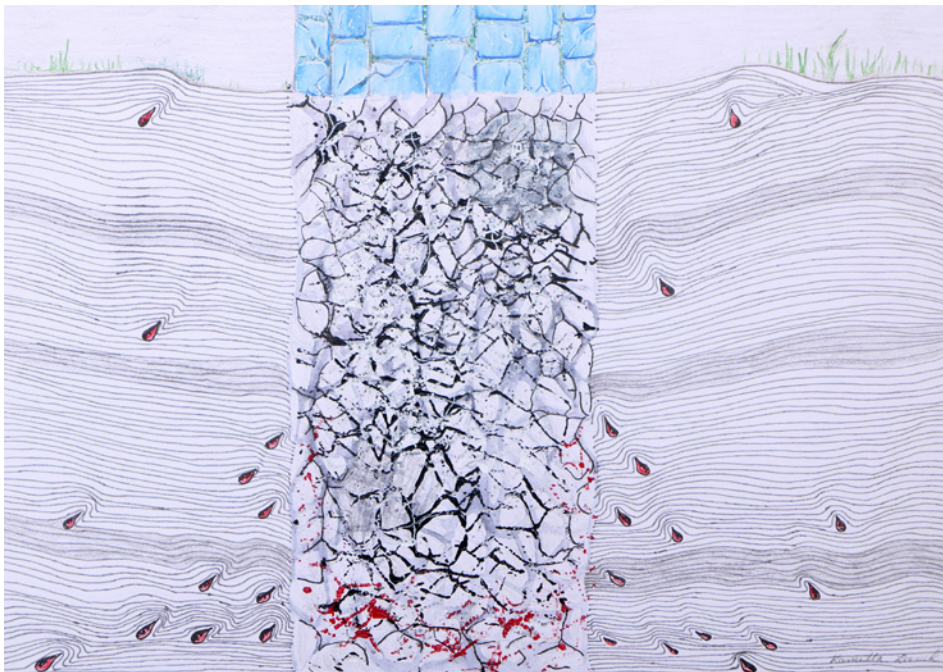
Franciszek Zygmunt Gałęcki herbu Junosza (1645 – 1711) – generał-adiutant wojsk koronnych, łowczy kaliski, chorąży ziem pruskich, marszałek sejmiku lwowskiego, kuchmistrz koronny, starosta bydgoski, kasztelan kaliski i poznański, wojewoda inowrocławski, kaliski i poznański, poseł Rzeczypospolitej w Republice Zjednoczonych Prowincji i Królestwie Szwecji, przedstawiciel dyplomatyczny Rzeczypospolitej w Królestwie Danii. Właściciel dóbr krotoszyńskich w latach 1685 – 1711.

„Studnia kaźni”

opowieść o studni w krotoszyńskim parku

W krotoszyńskim parku, na tyłach pałacu dawnych dziedziców miasta, znajduje się stara, bardzo głęboka studnia nazywana „studnią kaźni”. Według miejscowej tradycji, przed wiekami wrzucano do niej ludzi skazanych na śmierć, a dno studni najeżone było mnóstwem różnych ostrzy i kolców. Wrzucony do studni nieszczęśnik umierał w straszliwych męczarniach.

Choć dziś studni nie widać, ponieważ przykryta jest betonową płytą, to czasami w nocy dochodzą z jej wnętrza jęki potępionych dusz nieszczęsnych skazańców. Z kolei rosnące wokół niej drzewa i krzewy wydają się być skażone ludzkim cierpieniem, ponieważ nie są tak bujne i wysokie jak w innych częściach parku.



Komentarz historyczny

Liczący 8 ha Park Wojska Polskiego w Krotoszynie położony jest w pobliżu pierwotnej siedziby właścicieli miasta. Niegdyś znajdował się on na obrzeżach miejscowości, lecz z biegiem czasu, wskutek rozwoju zabudowy Krotoszyna (XVIII – XIX w.) znalazł się w ścisłym centrum.

Okres rządów Rozdrażewskich (1570 – 1692) to czas rozwoju miasta, także w odniesieniu do parku. Pierwsza znana nam wzmianka o jego istnieniu pochodzi z 1632 r., Franciszek Starowolski pisze o nim: „Krotoszyn z bardzo pięknym ogrodem hrabiów Rozdrażewskich”. Były to czasy Jakuba Rozdrażewskiego, który wraz z budową nowej murowanej siedziby zadbał też o otoczony parkanem ogród w stylu włoskim. Przed dworem od zachodu, znajdował się dziedziniec, na który od północy wiodła droga przechodząca przez groblę, bramę i most zwodzony. Po przeciwnej stronie dziedzińca ulokowano kuchnię, spichlerz i mieszkania oficjalistów, a po zachodniej dwie oficyny, między którymi znajdowała się brama prowadząca do zwierzyńca i folwarku.

Za rządów Franciszka Gałęckiego (1692 – 1717) wzniesiono nowy barokowy pałac. W inwentarzach z 1713 i 1718 r. odnotowano, że otacza go ogród włoski i dziedziniec. Prowadziły do nich dwie bramy, a trzecia znajdowała się w ogrodzeniu od strony miasta. W 1713 r. w parku znajdowało się sześć sadzawek (później 5), szczególnie starannie prowadzono kwaterę z różnymi gatunkami drzew. Na dziedzińcu stał mielcuch oraz młyn koński. W 1718 r. pojawiają się jeszcze: browar, gorzelnia, wozownia, stajnia, oficyny, mieszkania oficjalistów i słodownia.

W inwentarzu z 1753 r., już za rządów Ludwiki Potockiej, czytamy: „w ogrodzie koło pałacu jest szpaler grabowy, nisko strzyżony, kwater bukszpanem wysadzanych 5, fontanna drewniana nieczynna, druga sucha z darni wysadzana, ulice grabiną, sośniną, jałowcem i ligustrem strzyżonym w piramidy wystrzyżonym i bramami grabowymi strzyżonymi akomodowane”. W północnej części parku stała murowana oranżeria, w której rosły m. in. drzewka pomarańczowe i cytrynowe. W parku znajdowało się sześć zarybionych sadzawek, a siódmą zlokalizowano za bramą. „Pierwsza sadzawka od południa duża, źródłana była dookoła niskim szpalerem grabowym obsadzona” – przy pomocy rur zasilala ona pozostałe sadzawki oraz fontannę i kuchnię. Na terenie parku znajdowały się też dwa sady: po prawej stronie źródlanej sadzawki – owocowy, ze szczepionymi drzewkami i krzewami oraz po lewej stronie sadzawki – ze szkótką drzewek owocowych. Oprócz sadzawki sady oddzielały trzy szpalery drzew lipowych. Drewniany dom ogrodnika stał przy ul. Zdunowskiej, a sam ogród od innych budynków gospodarczych i dziedzińca oddzielono parkanem krytym gontem.

W takim kształcie park i otoczenie pałacu przetrwały do końca XVIII w. Żadne ze znanych nam źródeł nie wspomina o „studni kaźni”, niemniej studnia w pobliżu pałacu była – prawdopodobnie w tym samym miejscu, które definiuje się jako ową legendarną, przerażającą studnię.

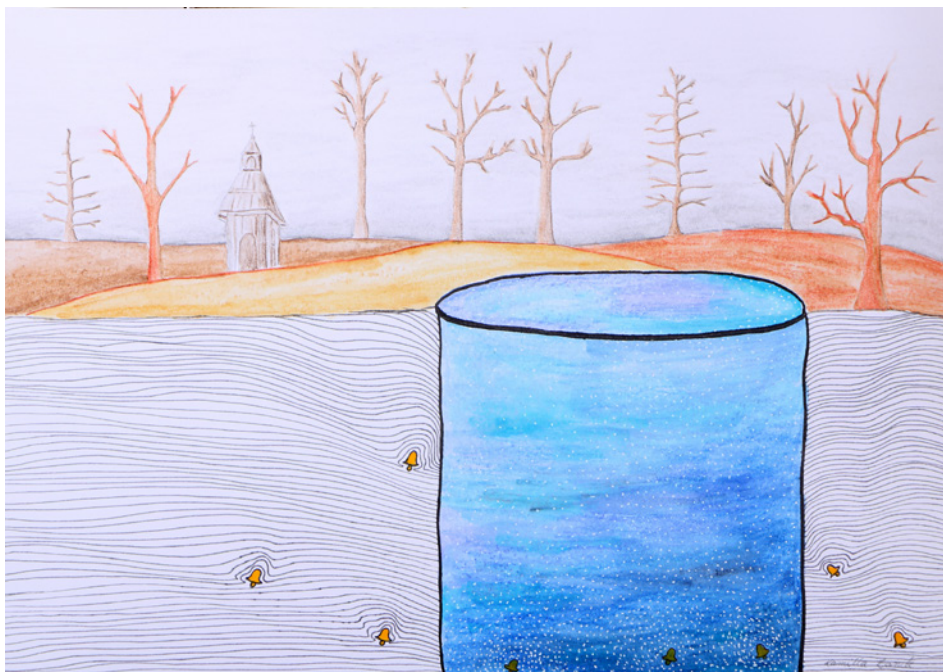
„Studnia Świętego Marcina”

opowieść o świątyni i pustelni w lesie świętomarcińskim

W lesie między Krotoszynem, Sulmierzycami a Zdunami znajduje się stara, drewniana *Studnia św. Marcina*. Od tej nazwy okoliczny las określono świętomarcińskim.

Według legendy, miała się tam niegdyś znajdować wieś z kościołem, która nagle na skutek jakiegoś przekleństwa, zapadła się pod ziemię. W miejscu świątyni trysnęło źródło, którego woda miała ponoć cudowne właściwości i leczyła choroby oczu. Okoliczna ludność wybudowała obok źródła niewielką kapliczkę, w której sąsiedztwie wkrótce zamieszkał pustelnik. Ludzie jeszcze przez długie lata przychodzili do kościółka, aby zaczerpnąć cudownej wody.

Z czasem jednak zniknęła również sama kapliczka, pustelnik zmarł, a studnia wyschła. Obok niej płynie dziś jedynie niewielki strumyk, a w dzień św. Marcina z głębi drewnianej (dziś betonowej) studni dochodzą ponoć delikatne dźwięki dzwoneczków.



Komentarz historyczny

W okolicach studni św. Marcina niektórzy historycy dopatrują się początków Zdun. Wspomniana w legendzie, zaginiona osada miałaby według tej teorii być pierwotną w stosunku do lokowanego w 1267 r. miasta. Zniknięcie wsi wiąże się często z jakimś kataklizmem – według abp. Michała Jerzego Poniatowskiego (1790) miało to być trzęsienie ziemi, rozumiane przez niektórych badaczy jako najazd obcych wojsk (podczas wojny trzydziestoletniej albo potopu szwedzkiego) lub epidemia. Upadek osady mógł też być związany z jej wyludnieniem w wyniku konkurencji, jaką dla wsi zaczęto stanowić korzystniej usytuowane, dopiero co lokowane miasto Zdunki. Mieszkańcy starej wsi mogli także zwyczajnie opuścić osadę i przenieść do położonego na zachód miasta, aby móc korzystać z przywilejów zagwarantowanych osadnikom w dokumencie lokacyjnym.

Świątynia pw. św. Marcina miała być dla zaginionej osady kościołem parafialnym, a jej początków można doszukiwać się w XIII w., kiedy to ów patron cieszył się na ziemiach polskich szczególną popularnością. Po wspomnianym, domniemanym upadku wsi, w miejscu pierwszej świątyni wybudowano drugą wraz z pustelnią. Według Józefa Łukaszewicza pierwsza wzmianka o drugim kościółku pochodzi z 1663 r. Z kolei protokół wizytacyjny parafii w Zdunach z 1812 r. wspomina, że była to niewielka drewniana budowla, której podłogę i sufit wyłożono tarcicą. Prowadziło do niej troje drzwi – główne, skierowane zapewne na zachód oraz dwoje mniejszych po bokach kościoła. Wewnątrz, nad głównym wejściem, umiejscowiono chór. W prezbiterium znajdował się połączony ołtarz główny z obrazem św. Marcina na koniu, tabernakulum z marmurową mensą (blatem) do odprawiania mszy. Dwa ołtarze boczne zostały poświęcone Jezusowi Miłosiernemu i Matce Bożej. W kościele znajdowały się także: drewniana ambona, dwa konfesjonały oraz zakrystia (po lewej stronie ołtarza). Kościółek posiadał połączony dzwon, przeniesiony na początku XIX w. do Zdun, stąd też wniosek, że musiała istnieć jakaś wieża lub dzwonnica. Przy kościele znajdował się niewielki cmentarz i podpiwniczona pustelnia, zbudowana z drewna lipowego, z trzema okratowanymi oknami. Obok domu stała niewielka stodoła wraz ze stajnią, za którą rozciągał się ogród.

W drewnianym kościółku raz w roku, w dzień św. Marcina (11 listopada), odbywał się odpust. W aktach wizytacji parafii krotoszyńskiej z 1759 r. ks. Stefan Łubieński wspomina jeszcze o dwóch kolejnych, corocznych procesjach (w Poniedziałek Wielkanocny i w Zielone Świątki). Srebrne wota, odnotowane w zdunowskich księgach parafialnych, potwierdzają wagę kultu św.

Marcina dla lokalnej społeczności. W 1790 r. kościół zamknięto ze względu na zły stan techniczny, a we wrześniu 1834 r. potężna burza zniszczyła świątynię niemal całkowicie. Jej resztki rozkradła okoliczna ludność.

W okresie zaborów studnia św. Marcina stała się miejscem patriotycznych spotkań młodzieży z krotoszyńskiego Gimnazjum, zrzeszonej w Towarzystwie Tomasza Zana, m. in. Władysława Bolewskiego, Michała Kozala, Kazimierza Krotoskiego oraz Stanisława Kostki Łukomskiego.

„Sulimirowe Grodziszczce”

opowieść o grodzisku i powstaniu miasta Sulmierzyce

Pewnego dnia rycerz Sulimir, zostawiwszy starszych braci na ojcowiznie, wyruszył w świat szukać dla siebie miejsca na osiedlenie. Po długiej wędrówce dotarł ze swą drużyną do Wielkopolski. Zatrzymał się na rozległych łąkach, pokrytych jeziorkami i moczarami, porośniętych kępami tataraku i kwitnącymi kaczeńcami. Wśród tych mokradeł ujrzał z daleka niby wyspę – płaskie wzniesienie, na którym rósł wysoki, rozłożysty dąb. Spodobało się rycerzowi to miejsce. Otoczone mokradłami, trudno dostępne, wydawało się wymarzone na założenie grodu. Kiedy orszak Sulimira dotarł na wzniesienie, wyszła mu na spotkanie wiekowa, zgarbiona od starości wiedźma. Podnosząc rękę, jakby chciała powstrzymać przybyłych, zawołała:

– Stój, rycerzu Sulimirze! Wiedz, że nieżyczliwe jest ci to miejsce. Zginiesz tu i zginie wszystko, co posiadasz. Odejdź i nie kuś czarta mieszkającego na tym majdanie!

Strwożyli się towarzysze Sulimira, lecz rycerz nie uląkł się przepowiedni. Odrzekł wiedźmie, że czarta się nie lęka. W miejscu gdzie stoja, postawi kasztel z mocnych dębowych kłód, a przepływająca opodal rzeczka też pomoże mu w obronie. Roześmiała się na to wiedźma:

– W tej rzece czart się kąpie w deszczowe wieczory. Rzeczka się wtedy piekli, występuje z brzegów, a woda po kąpieli jest czarna jak smoła.

Sulimir i tym razem nie usłuchał wiedźmy. Rzeczkę nazwał Czarną wodą, ściał olbrzymi dąb stojący pośrodku wzniesienia i nakazał budowę kasztelu. Jeszcze przed zimą stanął gród otoczony fosą i palisadą, z jedną warowną bramą, do której prowadził zwodzony most. Bramy strzegło siedem ogromnych psów, z których każdy potrafiłby rozerwać na sztuki jeźdźca wraz z koniem. Sulimir czuł się bezpieczny, wiedźma gdzieś przepadła, a czart się nie pokazywał.

Trwało to jednak niedługo. W obawie przed napadami Niemców, którzy dla rabunku wyprawiali się na te ziemie, pojął Sulimir za żonę rudą i piegowatą córkę margrafa zza Odry. Chciał, aby Sasi i Brandenburczycy uważali go za członka rodziny. Niemiecka żona sprowadziła cały dwór ze swojej krainy. Spośród ziomków szczególnie wyróżniała rudego lutnistę, z którym nie tylko całe dnie, ale i noce spędzała. Osamotniony i markotny Sulimir coraz częściej sięgał po wino reńskie. Kolejny, zaprawiony trucizną kielich, stał się dla niego ostatnim. Od tego dnia w grodzie zaczęła rządzić Niemkini i poczęło się dziać wiele zła i nieprawości.

Wierni Sulimirowi ludzie, bici i głodzeni, zmuszani byli do pracy ponad siły. Przez Wielkanoc stali na dziedzińcu pod pręgierzem, wysmagani za odmowę ciężkiej pracy w świąteczny dzień. Kiedy ich wreszcie uwolniono, odeszli potajemnie z gródka na zawsze. O pół mili za łąkami, na suchym polu założyli osiedle, które nazwali od imienia swego pana Sulmierzycami. Ze względu na pamięć dawnych dziejów, miasto przyjęło za swój herb zamkniętą bramę. Nikogo też mieszkańcy nowej osady nie chcieli mieć nigdy za pana, poza polskim królem.

Stary diabeł, jak się okazało, jednak nie opuścił swego siedliska. Od czasów Sulimirowego ożenku zamieszkał w głębi kominka i spisywał na koźlej skórze wszystkie grzechy nowych mieszkańców gródka. Kiedy przebrała się miara nieprawości, a i na skórze, mimo jej rozciągania, miejsca już nie starczało, postanowił diabeł sprawę ostatecznie zakończyć. Wylazł na dach otworem z komina i powoli z niepozornego, koślawego, czarnego stworzenia zmieniał się w olbrzymią, ciemniejącą chmurę. Z niej wyleciała nagle jak błyskawica rozpalona łapa w rękawie ze smugi deszczu i przygniotła grodziszcze. Nad wzgórzem zaświeciła luna i rozległ się trzask straszliwy, jakby piekło się zawaliło. Później noc ogarnęła wszystko i tylko niskie, siarką woniące dymy włóczyły się jeszcze po łąkach do białego rana. Drewniany kasztel zniknął na wieki.

Do dziś w samym środku wzgórza widnieje koliste wgłębienie, jakby jakaś potworna ręka wgniotła tu coś ogromnego w ziemię. Starzy mieszkańcy Sulmierzyc opowiadają, że w Wielkanoc o północy słysząc tam brzęk żelastwa, jakąś niezrozumiałą mowę, szatański śmiech i płacz niewieści. Pewien śmiałek, który odważył się kiedyś pójść tam o północy, ujrzał siedem rozwścieczonych brytanów z ogromnymi głowami, które wyrzywały sobie rdzą pokryte zamkowe klucze. Ludzie mówią, że gdyby komuś udało się odebrać bestiom te klucze, kasztel wypłynąłby z powrotem z głębi ziemi.



Komentarz historyczny

Legendarny „gród Sulimira” to grodzisko z VIII – IX w., oddalone o około 3 km na północny zachód od Sulmierzyc. W pobliżu grodu funkcjonowała osada. Archeolodzy natrafiają w okolicy również na liczne pozostałości osadnictwa z innych okresów historycznych. Wspomniana w treści legendy Czarna Woda to rzeczka stanowiąca prawy dopływ Baryczy.

Nazwa miasta, mająca odwoływać się do staropolskiego imienia Sulimir, łączona jest czasami z rodem Sulimów. Pierwsza wzmianka o wsi Sulmierzyce pojawia się w 1297 r., a lokacja miasta na prawie magdeburskim miała miejsce w roku 1457. Połączono w tym celu trzy wioski: Stare Sulmierzyce, Nowe Sulmierzyce i Granowice.

„Trzy młyny” *opowieść o zielarce Kunegundzie*

Żyła niegdyś w Krotoszynie słynna na całą okolicę zielarka Kunegunda. Mieszkała w niedużym drewnianym domku, zwróconym szczytem do ulicy, jakich niewiele zachowało się do naszych czasów w Krotoszynie. Utrzymywała się ze zbierania polnych i leśnych ziół, z których sporządzała, sobie tylko wiadomymi sposobami, cudowne mikstury na różne dolegliwości. Nikomu nie odmawiała pomocy, nawet wtedy gdy nie mogła liczyć na zapłatę, a że na ziołach знаła się znakomicie, toteż sława jej rosła, a ludzie mówili o niej z podziwem i wdzięcznością.

Tylko miejscowi lekarze niechętnym okiem patrzyli na praktyki „znachorki”, jak ją nazywali i czekali kiedy ktoś umrze na skutek zalecanych przez nią „ziołek”. Nigdy się to jednak nie zdarzyło. Szczególnie zawzięta na Kunegundę była małżonka jednego z lekarzy, któremu zielarka odbierała pacjentów. Zaczęła więc pani doktorowa szerzyć wieści o rzekomych konszachtach Kunegundy z diabłem. Zaraz też niektórzy ludzie zaczęli wołać za staruszką: „wiedźma”, „czarownica” i nazwa ta przylgnęła do Kunegundy na długie lata.

W tym samym czasie, na niewielkim wzgórku w południowej części miasta, stały obok siebie trzy wiatraki, które meły zboże dla okolicznych chłopów. Drogę prowadzącą do wiatraków nazwano ulicą Trzech Młynów (w czasach pruskich „Dreimüllerstrasse”). Zdarzyło się raz, że Kunegunda wracając z lasu z ubieranymi ziołami, przechodziła obok wspomnianych trzech młynów. Młynarze, którzy nasłuchali się już krążących od dłuższego czasu opowieści o konszachtach zielarki z diabłem, poczęli z niej szydzić. Jeden poszczuł ją psem, a dwaj następni obrzucili kamieniami i błotem. Kunegunda obelgi znosiła ze spokojem, kiedy jednak poczuła uderzenie kamieniem, odwróciła się i zawołała:

– Strzeżcie się panowie młynarze! Nie minie miesiąc, a pożar jednego z was pochłonie i nigdy już nie będzie tu trzech wiatraków!

Słowa Kunegundy ziściły się niebawem. Pod koniec miesiąca, w niedzielny wieczór rozpętała się nad miastem potężna burza. Jeden z wiatraków spłonął doszczętnie od uderzenia pioruna. Wprawdzie po jakimś czasie młynarz odbudował go, ale już w następnym roku płomienie zniszczyły kolejny młyn. Ten również został odbudowany, zaraz jednak spalił się następny wiatrak. I tak, pożary i odbudowy powtarzały się przez wiele następnych lat, aż ktoś przypomniał sobie prorocze słowa Kunegundy, która spoczywała już wtedy na cmentarzu. Zaniechano więc odbudowy kolejnego spalonego młyna i od tam na wzniesieniu stały już tylko dwa wiatraki.

Nazwa ulic, choć nieaktualna, utrzymywała się jeszcze długo, bo aż do końca rządów pruskich. Dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w 1919 roku władze miejskie Krotoszyna zmieniły nazwę ulicy na Młyńską. I ta nazwa przetrwała do naszych czasów, choć po młynach – wiatrakach już dawno wszelki ślad zaginął.



Komentarz historyczny

W czasach gdy lokowano Krotoszyn w mieście funkcjonowały tylko dwa młyny, a ze względu na dużą liczbę strumieni i potoków były to być może młyny wodne. Jeden z nich należał do mieszczan, drugi był własnością dziedzica i miał wyłączność na mienienie stodu, który służył do wyrobu domowego piwa.

W 1618 roku w mieście znajdowały się cztery wiatraki, a na przełomie XVII i XVIII wieku było ich już trzydzieści trzy. Największą ilość wiatraków – pięćdziesiąt – odnotowano w Krotoszynie w połowie XVIII wieku i od tego czasu ich liczba zaczęła spadać. W 1800 r. wykazano ich trzydzieści jeden, a w 1871 – dwadzieścia sześć. Niestety żaden z krotoszyńskich wiatraków nie dotrwał do czasów dzisiejszych.

„Zbójecki kamień”

opowieść o skarbach ukrytych w lesie pod Smoszewem

W rozległych lasach smoszewskich, na południowy wschód od Krotoszyna znajduje się olbrzymi głaz narzutowy, który według miejscowej tradycji zamyka wejście do jaskini pełnej skarbów.

Zostały one tam ukryte w dawnych czasach, kiedy Smoszew nazywano jeszcze Smoczewem od imienia groźnego rozbójnika, który grasował w okolicy. Zbój Smok z bandą podobnych sobie opryszków czatował na gościńcu i łupił kupców zdążających ku granicy ze Śląskiem. Zrabowane skarby gromadził w jaskini ukrytej w puszczy, a wejście do swej kryjówki zamykał olbrzymim głazem. Z jednej ze swoich wypraw zbój nie powrócił. Został wraz ze kompanami schwytany przez zdążających ku Wrocławowi rycerzy. Wtrącony do lochu Smok nie mógł już odzyskać swoich skarbów. Podobno po dziś dzień spoczywają one pod ogromnym głazem. Starzy ludzie i leśnicy opowiadają, że czasami w nocy wokół kamienia zapalają się ogniki. To właśnie jest blask ukrytych pod ziemią skarbów.



Komentarz historyczny

Wzmiankowany w podaniu kamień, pod którym ma się znajdować wejście do jaskini pełnej skarbów to olbrzymi głaz narzutowy o długości 250 cm, szerokości 140 cm i obwodzie 6 metrów. Kamień ten, uznany za pomnik przyrody, można znaleźć w lesie smoszewskim, na południowy wschód od Krotoszyna.

W okresie średniowiecza przy granicy ze Śląskiem grasowali raubritterzy – nazywani po polsku rycerzami rozbójnikami lub rycerzami rabusiami. Byli to rycerze lub osoby z rycerskiego rodu trudniące się napadami, szczególnie na przejeżdżających w pobliżu ich siedzib kupców i podróżnych. Najwięcej historycznych przypadków raubritterów znamy z terenów Bawarii, Tyrolu, Włoch, Śląska oraz Szkocji. W okolicy Krotoszyna przykładem raubrittera może być rezydujący na koźmińskim zamku Maćko Borkowic, skazany przez króla Kazimierza Wielkiego na śmierć głodową w lochach zamku olsztyńskiego na Śląsku.

Spis treści

Wstęp.....	3
„Dąb Rozdrażewskich”	4
„Diabelski kamień”	6
„Jak Jan Kazimierz na Śląsk uciekał”	8
„Kamienny pies”	10
„Konfederaci w Krotoszynie”	12
„Krot i Syn”	14
„Legenda o świętej Jadwidze”	16
„Miasto Koźmin i żmije”	19
„O Aleksandrze Przyjemskim i feldmarszałku pruskim”	22
„O Benickiej Grobli”	24
„O Kobylinie, Dubinie i Jutrosinie”	26
„O księciu Sapieże”	28
„O niegrzecznym dziecku”	31
„Odrzygośćka”	34
„Podanie o wsi Roszki”	36
„Przygoda Jana Sobieskiego”	38
„Studnia kaźni”	41
„Studnia Świętego Marcina”	44
„Sulimirowe Grodziszczce”	47
„Trzy młyny”	50
„Zbójecki kamień”	52
Bibliografia.....	55

Bibliografia

- J. Hajduk-Nijakowska, Nie wszystko to Bajka. Polskie ludowe podania historyczne, Warszawa 1983.
- Jednodniówka wydana z okazji odsłonięcia pomnika Powstańców Wielkopolskich w Kobylinie, Krotoszyn 1938.
- H. Kasperska, Legendy i podania Krotoszyna oraz jego okolic, Kalisz 1996.
- H. Kasperska, Podania i legendy ziemi krotoszyńskiej, Krotoszyn 2000.
- E. Kor-Walczak, Opowieści Czterech Jeźdźców. Baśnie i legendy Ziemi Kaliskiej, Kalisz 1987.
- Koźmin Wielkopolski – Nasza Mała Ojczyzna, red. M. Pietrowski, Koźmin Wielkopolski 2000.
- Legendy regionu krotoszyńskiego w opracowaniu uczniów Szkoły Podstawowej nr 7 w Krotoszynie (1986/1987), rękopis niepublikowany w zbiorach Muzeum Regionalnego w Krotoszynie.
- J. Łukaszewicz, Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie krotoszyńskim, Poznań 1869.
- F. Mierniczak, Ziemia Krotoszyńska za czasów dawnej Rzeczypospolitej, Krotoszyn 1928.
- P. Mikołajczyk, Crothoszino. Prawdziwe i legendarne początki Krotoszyna, Krotoszyn 2011.
- A. Nawrocki, Krotoszyńskie opowieści z lat dawnych, maszynopis niepublikowany w zbiorach Muzeum Regionalnego w Krotoszynie.
- O Maćku Borkowicu i diable Borucie oraz inne podania i legendy wielkopolskie, Poznań 1984.
- Podania i klechdy krotoszyńskie zebrane przez młodzież PTTK LO w Krotoszynie pod kierunkiem H. Ławniczaka, maszynopis niepublikowany w zbiorach Muzeum Regionalnego w Krotoszynie.
- S. Świrko, Orle Gniazdo. podania, legendy i baśnie wielkopolskie, Poznań 1969



SZLAKI ROWEROWE

- czarny "Wokół Krotoszyń" 44,1 km
złoty "Krotoszyńskie Dąbrowy" 40,0 km
wariant skrócenia szlaków

SZLAKI PIESZE

- 2000 Krotoszyn - Sulmierzyce 17,6 km

EKOLOGICZNA ŚCIEŻKA PRZYRODNICZA 4,3 km





M U Z E U M
R E G I O N A L N E
IM. HIERONIMA ŁAWNICZAKA W KROTOSZYŃIE

ISBN:
978-83-927561-3-2